



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgerbera i Spół., kwartal. 5 marek

## POGA WĘDKA

Przewidywałem, że się rozhulamy pod koniec, zapominając o wszystkim, co nam nogi pęta, i oto statystyka balów, wieczorów, zabaw, tanecznych par w kadrylu i mazurze, ślubów i wypitych butelek w ostatnich czasach wzrosła tak znacznie, iż prawie nie ustępuje szalonym zapustom z lat dawnych, lepszych, obfitszych w humor i pieniądze.

Jeszcze jeden tydzień karnawału przed nami, jeden jedyny; będziemy się starali odskakać w nim wszystko, cośmy zaniedbali z konieczności, czy dobrej woli w pięciu poprzednich.

Ostatki nie zawiodą mimo to, że... ostatkami gonimy przez rok cały.

Czekają nas jeszcze dwa bale maskowe z tombolą, jedna na korzyść Towarzystwa Dobroczynności w ratuszu, drugi na dochód kasy pożyczkowej artystów i pracowników naszej sceny w salach reductowych

Dyrekcya teatru bardzo dobrze zrobiła, znosząc reduty po nieudanej „piątej“. Zyskują na tem oba projektowane bale, bo wszystkie zaległe, przerwane i zapasowe intrygi znajdują na nich ostatnią sposobność zadzierzgnięcia swego węzła.

Towarzystwo Dobroczynności, chociaż z ostatniego kiermaszu wzięło z górą 5,000 rs. zasilku, potrzebuje znowu funduszów; jest to jedyna instytucja, w której niedobór świadczy korzystnie o jej działalności, bo im więcej wyda, tem więcej dobrego zrobi dla biednych.

Ten deficyt w rachunkach naszej filantropii daje się bardzo łatwo wytłómaczyć; potrzebujących wsparcia przybywa niemal z dniem każdym. Za-

możniejsi ubożają, biedni popadają w nędzę, poziom dobrobytu zniża się, nie o jeden, ale o kilka stopni nieustannie; głodnych, zziębniętych, obdartych i dachu pozbawionych coraz więcej, a niepodobna pozwolić im, aby marnieli bez wszelkiej pomocy i ratunku.

Obecnie około 300 starców, pomiędzy którymi są ludzie sędziwi od 80—95 lat liczący, wyciągają błagalnie ręce do Towarzystwa z godłem: *Res sacra miser* i proszą o cichy kąt, w którymby już, nie żyć, ale przynajmniej spokojnie umrzeć, mogli.

Nie są to proletaryusze z pochodzenia, lub włóczęgi, których zniecił żebraczy chleb na bruku Warszawy, każdy był kiedyś czemś lepszym, pracował, służył, zarabiał, kupczył, a potem, gdy przyszła czarna godzina, gdy los pogłębił, starość przygniotła, a śmierć łaskawa nie przyszła, musiał do litości i miłosierdzia bliźnich udać się o pomoc.

Towarzystwo i funduszów, i miejsca już nie ma, aby spełnić swoje zadanie; na otwarcie nowych przytułków, na utrzymanie nowych pensyonarzy zabrakło pieniędzy.

Dotychczasowy gmach przy Krak. - Przedm., przepelniony, za szczupły, cisnąć się w nim trzeba łokciami trącać; budować nowego niema z czego.

Powstał projekt zniesienia teatrzyku Dobroczynności i pomieszczenia w nim pięćdziesięciu starców lub sierot, jeśli nie znajdą się fundusze na odrestaurowanie zabudowań poddominikańskich przy ulicy Freta, gdzie taki przytułek byłby i wygodniejszy i właściwszy.

Jakkolwiek potrzeba jest wielką, jednak projekt zniesienia sceny, która około sześćdziesięciu lat istniała, która zapisała się nader dodatnio i w rocznikach sztuki i w rubryce filantropijnych dochodów, która stanowi jedną z pamiątek dawnej Warszawy—nie byłby dobrym i praktycznym, ani pod moralnemi, ani pod materialnemi względami.

Amatorskie przedstawienia przynosiły ongi, nawet dosyć niedawno, około 2—3,000 rs.; i dzisiaj przynosiłyby mogły, gdyby się postarano o protektorat osób wpływowych nad teatrem, wymagającym do zapelnienia sali około dwustu widzów, aby każde widowisko z górą dwieście rubli dochodu przyniosło.

Z dwunastu przedstawień pełnych możnaby uzyskać w ciągu sześciu tygodni z półtrzecia tysiąca rubli, t. j. tyle właśnie, ile potrzeba na urządzenie przytułku w gmachu poddominikańskim.

Amatorowie, amatorki i reżyseria zrobią swoje, postarają się o repertoar zabawny, dobrą grę, urozmaicony program; nie pierwszozna to dla nich. Niech tylko „dobrodzieje i dobrodziejki“ sympatją swoją dla „sympatycznej scenki“ poprą czynnie, energicznie, dobrą wolą i zabiegliwością około rozprzedaży biletów.

Zrobił ktoś uwagę zpowodu ostatniego walnego zebrania członków Towarzystwa Dobroczynności, że w sferach działających i kierujących tą instytucją zamało znajduje się młodych, pomyslowych i ruchliwych żywiołów.

Powaga, najzaciejsze chęci i ofiarność sama nie wystarczają do osiągnięcia wszystkich celów; aby myśl w dobrej głowie poczęta dobiegła do kresu urzeczywistnienia, potrzebuje zdrowych nóg i gibkich muskułów, energii i rozpędu: a sędziwi ojcowie dobroczynności mądrze nieraz radzą, póki siedzą na swoich poręczowych krzesłach, jednak trudno od nich wymagać, aby z młodzieńczą werwą biegali za wykonaniem swoich pomysłów.

Ciężko, wolno, utykając, wlecze się też rydwan naszej filantropii.

Przyjdzie czas, w którym trzeba będzie pomyśleć o reformie koniecznej; nie mam żadnych osobistych względów na uwadze, nie chcę zamiany osób, dziś działających i opiekujących się instytucją—wszystko to ludzie zacni i godni szacunku; ale potrzeba kadry wypełnić młodszemi siłami, ruchliwszą i energiczniejszą pomocą.

Ile pożytku na tej drodze dałoby się osiągnąć, świadczy udział i działalność dwóch takich wyjątków w zarządzie Towarzystwa, jak hr. Józef Krasiński i Wincenty hr. Walewski; jeden jako prezes komitetu dochodów niestałych, drugi jako wiceprezes administracji, dowodzą czynem, ile dobrego zrobić i przeprowadzić można na korzyść filantropijnych celów.

Dzięki inicjatywie hr. Krasińskiego i jego zabiegom urządziła się wystawa przedmiotów sztuki i zabytków starożytności, będących w prywatnym posiadaniu; wystawa odbędzie się w Hotelu Europejskim, a z dotychczasowych zapowiedzi wnioskować można, że będzie obfitą i zajmującą.

Stare meble, brzozy, gobeliny, obrazy, pamiątki rodzinne, złożą się na urozmaicone Muzeum, które powinno wzbudzić wysokie zajęcie w znawcach i profanach.

Okazuje się przy tej sposobności, ile w prywatnym ukryciu spoczywa jeszcze dzieł cennych i pięknych z dawnej przeszłości; dla archeologów, artystów, miłośników sztuki i osobliwości wystawa zapowiedziana na Wielki Post będzie zapewne nader pożądaną i pożyteczną okazją nasycenia oczu i smaku.

Może i sami właściciele wystawionych okazów zyskają na tem, bo dowiedzą się o prawdziwej wartości swych zabytków, nad którymi bardzo mało opieki rozciąga gruntowne znawstwo, skutkiem czego obcy handlarze tak często ograbiają nas z cennych przedmiotów sztuki, za bezcen kupują stare zabytki i wywożą do muzeów i zbiorów zagranicznych.

Albo to mało zmarnowaliśmy w ten sposób rzeczy, niepowrotnie już teraz straconych!...

Jednego u nas nikt kupić, ani nawet za darmo wziąć nie chce,—to starej biedy naszej, która jak smoła przyczepiła się do nas i odczepić się nie daje.

Ludziska patrzą zamglonem okiem w niepewne jutro i szepeją z humorem skazanych szubieniczników:

— Tylko cierpliwości—będzie gorzej!...

Giełdciarze spekulują na *baisse*, towarzystwa assekuracyjne na wojnę, bo oto, jak słyszę, powstał nowy rodzaj zabezpieczenia życia wobec zawikłań politycznych. Każdy żołnierz może zabezpieczyć teraz dla swej rodziny pewien kapitał, idąc na pole walki; jeżeli go kula nieprzyjacielska nie minie, polegnie spokojny przynajmniej o przyszłość i byt swoich ukochanych.

Dla cywilnych wynaleziono inną, uwzględniając głównie małżeństwa; oto mąż chcąc zabezpieczyć żonie po swej śmierci dożywotnią pensję w kwocie 600 rs. rocznie, potrzebuje tylko kwartalnie opłacać składkę, wynoszącą około 45 rs., aby wdowy swojej nie pozostawiał bez chleba i na łasce rodziny, krewnych lub „wdzięcznego społeczeństwa“.

Artyści, literaci, ludzie bez pewnego jutra, bez praw do emerytury, niemający środków ani możliwości zrobienia majątku za życia, powinni z tego korzystać skwapliwie.

Żałoba cięży ołowiem nie tylko na sercu, kiedy od grobu męża lub ojca odchodzi się w świat, bez chleba i podpory w życiu.

Lepiej umierać opuszczonym, niż opuszczonym zostawiać po sobie.

Litość, miłosierdzie, miłość bliźniego, to dzisiaj już bardzo obciążone hypoteki; nieszczęśni ci, co nie mogli lub nie umieli kierować się zasadą samopomocy i zapomnieli, że najmniej zawodnym hasłem jest to mądre zdanie: „Pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże.“

Literaci i artyści powinni tę sentencję wypisać sobie na obsadkach swoich piór, na kałamarzach, książkach, bibule i stoliku, przy którym pracują za życia.

Nie ma tak wielkiej sławy, popularności, tak znakomitych zasług, aby w pewnych razach nie zawiodły.

Oto umarł Lam przed kilku miesiącami, pisarz znany, ceniony, autor wielkiej wziętości, który przez lat dwadzieścia swojemi kronikami zachwycał co niedzielą czytelników, jeden a może jedy-

ny w swym rodzaju humorysta polski, nawskroś oryginalny, bez współzawodnika w literaturze, i cóż?... wyprawiano mu świetny pogrzeb, napisano mnóstwo mokrych od łez nekrologów, zamieszczono w każdym tygodniku portret, zaprzysiężono u mogiły wieczną pamięć i przybieciano pomnik na grobie; ale wszystko skończyło się na słowach, z których ani chleba dla pozostałej wdowy upiec, ani bucików dla sieroty uszyć nie można.

Składki kapnęły na ów kamień mogilny i urwały się, a rodzina z dnia na dzień żyje nadzieją, że sława i zasługi zmarłego ojca nie pozwolą jej zmarnieć w niedostatku. Zawiązał się we Lwowie komitet literatów i kolegów nieboszczyka, który wydał odezwę do czytającej publiczności, zachęcając ją do kupowania pozostałych dzieł po zmarłym, wydanych przed samą prawie śmiercią a autora w pięciotomowym zbiorze.

Daj Boże, aby to poskutkowało; wydawca *Bluszczu* mógłby najlepiej zaświadczyć, ile egzemplarzy rozeszło się tych dzieł za życia Lama, bo miał je w komisie na swoim składzie.

Jeśli w ten sposób zawodzi pamięć po najcenniejszych i nie wystarcza do otarcia łez pozostałej ich rodzinie, to jakież los czeka wdowy i sieroty skromniejszych pracowników pióra, dłuta, pędzla lub ołówka!...

Nasi artyści dramatyczni dali dowód przezornej praktyczności, założywszy przed kilku laty z własnych funduszy kasę pożyczkowo-wkładową; mają przynajmniej w braku emerytury instytucją, zastępującą ją choć w małej części. Na przypadek choroby, śmierci, ciężkich potrzeb, znajdują teraz jakąś pomoc bez uciekania się do lichwiarzy lub do łaskawej publiczności.

W Niedzielę fundusze tej kasy powiększą się zapewne o kilka tysięcy rubli, jakie da dochód z balu maskowego i tomboli, na którą wybierze się *tout Varsovie*, bo teatr i wszystko, co ma z nim jaką styczność, cieszy się jeszcze największymi względami naszej publiczności.

Aktor a zwłaszcza aktorka, to dziecko szczęścia, dopóki ma czem zdobyć oklask widzów i słuchaczy.

Oprócz tomboli na dochód kasy pożyczkowo-wkładowej odbędzie się w dniu 6-ym Marca b. roku koncert pod kierunkiem znanego melomana i kompozytora, Gustawa hr. Platera, który po raz trzeci na ten sam cel ujmie batutę dyrygenta i stanie na czele chóru złożonego ze 120 osób i orkiestry ze 112 grających. W program wejdzie nasz uroczysty „Tannhäuser“, polonez Jareckiego, „Furlana“ Münheimera, uwertura do „Cześnikówny“ hr. Platera i „Requiem“ Moniuszki, oprócz popisów solowych.

Wspomnienie tego ostatniego utworu smutno dźwięczy mi w duszy, gdy myślę, że pomnik kompozytora stoi dotąd w przedsionku kościoła Wszystkich Świętych bez tablicy, bez napisu, bez medalionu serdecznego śpiewaka „Halki“ i „Widm.“

Jakby to pięknie było ze strony kierownika i inicjatora koncertu, jakoteż samych artystów, gdyby częśćkę znacznego wedle wszelkich przewidywań dochodu, ofiarowali na uzupełnienie pomnika Moniuszki, choćby tytułem gratyfikacji za to samo wspaniałe „Requiem“, które będzie zapewne perłą całego programu!...

Teatr nasz wiele zawdzięczał Moniuszce!...

Z preliminarza ogłoszonego w dziennikach dowiaduję się, iż nasze trzy stałe sceny w ciągu roku zarabiają około pół miliona rubli i tyleż wydają na swoje utrzymanie; w tej summie mieści się już 25,000, przeznaczonych na wynagrodzenie artystów zagranicznych, którzy przyjeżdżają do nas na występy gościnne.

Kolega kronikarz *Tygodnika ilustrowanego*, zwrócił bardzo słusznie uwagę, że najmniejszą rubrykę w tych wydatkach stanowią... honorarya autorskie.

Każda praca dla sceny bywa dziesięćkroć lepiej wynagradzana, niż praca twórcza. Artysta, grający jedną rolę w sztuce oryginalnej bierze często przez jeden sezon z samego *feu* dwa i trzy razy więcej, niż wziął komedypisarz za swoją pracę. Przypuśćmy, że ten autor (wybieram przy-

kład najbliższy) występuje w jednoaktówce; dyrekcyjacy płaci mu oprócz stałej gaży 10 rs. za każdy występ, autorowi zaś 50—60 rs. raz na zawsze. Po pięciu lub sześciu przedstawieniach, aktorzy którzy potrzebowali tylko wyuczyć się kilku arkuszy roli swej, wzięli więcej, niż autor za całą sztukę.

Bywa często, iż jednorazowe *feu* wynosi półtora raza więcej, niż honorarium autorskie.

Powiedzcie teraz, czy ten stosunek wynagrodzenia jest słuszny i sprawiedliwy?

Nie utrzymuję wcale, aby artyści byli zadowolone płacni na naszej scenie, albo żeby ich praca i talent nie były warte tych pieniędzy; w porównaniu z zagranicznymi kolegami i ich dochody przedstawiają się nieszczególnie, jednakowoż w stosunku z dochodami autorów dramatycznych mają ogromną przewagę.

Jedni i drudzy żyć muszą. Aktor żyje tylko ze sceny i sztuki; z czegoż ma żyć autor, jeżeli li tylko pracować ze chce dla samego teatru?... W bardzo wyjątkowych razach zapłacą mu za spektaklową sztukę 250—300 rs.; ale takich sztuk nie może wysypywać z rękawa co miesiąc; najpłodniejszy rodzi, jak lew, raz na rok. Żyjąc ze swoich dzieł jedynie, musiałby, jak Ugolino, zjadać własne dzieci.

Autorowie są też u nas stosunkowo największymi mecenasami sceny, bo pracują dla niej w pocie czoła, po nieprzespanych nocach, poświęcają dla niej swój talent, swój czas, swoje dochody—a za to mają oklaski, idące w  $\frac{3}{4}$  na korzyść aktorów, i recenzje, które są przychylnie, gdy je piszą życzliwi przyjaciele, a stają nieraz kością w gardle.

Nie ma to, jak urodzić się z jakim niepospolitym talentem wykonawczym i rozwinąć go studiami i pracą!... P. Mierzwiński zbiera setki tysięcy i jako król tenorów ściągają haracz z publiczności całej Europy; p. Myszuga, który ze swoim wielkim kolegą ma wprawdzie tylko jedną literę wspólną, także skarżyć się nie może na losy, pobierając 10,000 rs. rocznej pensji.

Obaj jednak zazdrościć muszą takiemu Sarasatemu, który smyczkiem przebie w złocie, jak w piasku i gdziekolwiek się pokaże wzbudza zachwyt kobiet i podziw mężczyzn. Gdyby trzy razy dziennie dawał koncerty, miałby pełną salę słuchaczy.

Warszawa, skarżąc się na biedę, cisnęła się tłumnie pod estradę hiszpańskiego „dyabła ze skrzypkami“ i niosła ostatnie ruble za bilety, byle tylko rozmarzyć się jego grą. Opadli go na samym przyjeździe delegowani rozmaitych instytucji i koncertów dobroczynnych, szturmując do jego uczuć humanitarnych prośbą o przyjęcie udziału w koncertach na cudzą korzyść. Hiszpan wykrywał się, jak piskorz, przyrzekał innym razem, tłumaczył, że nie ma czasu, bo go wzywają zagranicę, ostatecznie naładował trzos i czmychnął do Berlina przed natrętnymi.

Nigdzie, co prawda, nie wyzyskują tak nieczylich talentów, jak w Warszawie; na estradach koncertowych, na scenach amatorskich i prawdziwych na katedrach prelegencyjnych, na wystawach, wydawnictwach, etc. etc. muzyk, aktor, malarz, literat musi obowiązkowo składać daninę swego talentu lub swojej pracy. Niech wszelako spróbuje wystąpić z własnym koncertem, z własnymi odczytami, własną wystawą, znajdując zaraz tacy, co ramionami zaczną wrzeszczeć, szemrać, uśmiechać się złośliwie albo głośno krytykować, a ostatecznie biletu nie kupią, obrazu nie obejrzą, i biedaka artystę lub literata zostawią w pustej sali.

U nas trzeba mieć wszystko—dla drugich, nie dla siebie.

Quis.

## SONETY DANTEGO

w przekładzie Felicyana.

(VII).

Nieraz, gdy żal mi mojej zbladłej twarzy,  
Której kochanie pozór śmierci dawa,  
Pytam, sarkając na te dziwne prawa:  
—Komuż drugiemu to, co mnie, się zdarzy?—

Gdyż tak mię gnębi w swej wszechwładzy wrażeń  
Miłość, że zda się, już mi dusza łzawa  
Z ciała się wymknie; w tem — czy sen, czy jawa —  
Mysł o mej pani znów mię życiem darzy.

Więc, choć wiem zgóry, że to czyn od rzeczy,  
Zbolały, trwożny, dążę przez katusze  
W nią spojrzeć, sądząc, że mię to uleczy.

Lecz kiedy ku niej wznieść się wzrok mój zmuszę,  
Tak dziwne drżenie drętwi byt mój człeczcy,  
Że znów mi z ciała coś wyplaszta duszę!—

## Anna Jagiellonka, Królowa Polska.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

skreślił

Maryan Dubiecki.

(Dalszy ciąg).

Śmierć Zygmunta Augusta stała się chwilą bardzo stanowczą, punktem niejako zwrotnym w życiu królowej, którą nazywano „najjaśniejszą infantką.“ Rzeczpospolita przypominała sobie istnienie owej infantki, ale wcale nie dlatego, by się zaopiekować samotną, osieroconą, zniekaną moralnie, pięćdziesiąt lat już liczącą, ostatnią przedstawicielką zasłużonej dla kraju dynastji. Podczas zjazdów poprzedzających elekcję, która zainteresowała cały ówczesny świat europejski, obawiano się, że królowa wpłynie może na bieg obrad elekcyjnych, na wybór elekta, na siłę i grupowanie się stronictw. Obawy płonne okazały się później; Anna daleką była od wszelkich knowań politycznych, od zabiegów o koronę, od popierania stronictw domniemanych kandydatów, a główna jej troska zwróconą była ku zabezpieczeniu spuścizny majątkowej dla siebie i sióstr, ku podniesieniu spadku po matce — słowem ku sprawom prywatnym.

Nie wierzono jednak temu i wciąż ją posądzano o knowania polityczne, o popieranie stronictw. Ta nieufność sfer rządzących w Rzeczypospolitej, te płonne obawy o jej działalność polityczną, dla niej wtedy obcą i obojętną, wywołała wiele przykrych chwil dla królowej. Nie posiadając ani jednego rysu z ujemnych właściwości charakteru matki, królowa daleką była zarówno od żądzy władzy, od zamięłowania, knowań politycznych, jak i od chęci nadmiernego wzbogacania się. Własne mienie chętnie poświęcała gwoździu zachowaniu nieskalanym ideału swych przekonań. Ten ostatni rys jej charakteru uwydatnia się w owem szlachetnym staraniu się o umorzenie procesu, który w pół roku po królewskim zgonie wytaczano tym z jego otoczenia, co go okradli w chwili śmierci, i temsamem znacznie uszczupili mienie ubogiej królowej. Lecz Anna, nie chcąc sądu na zbrodniarzy, aby nie kalano przed sądowną krata ludzi, których brat otaczał uznaniem, acz tego nie byli warci, aby nie wywoływać u niezłożonej jeszcze w wawelskim grobowcu trumny brata, echa wieści niepochebnych dla pa-

mięci zmarłego... Równie szlachetnych czynów mnóstwo uszło się na drodze jej życia; wszystkie ściśle zebrane nie zmieściłyby się w ramach tego opowiadania.

W dniach żałoby po bracie, w dniach nader ciężkich, przy osamotnieniu, przy braku opieki i środków materyalnych, nieufność stanów koronnych boleśnie ją dotyka. Skarży się królowa i zwierza ze swej doli w listach do sióstr: pisuje i do Katarzyny, która już była wyszła z ciężkiego nieszczęść swych koła i zasiadła na tronie szwedzkim, i do Zofii, zawsze praktycznej, energicznej i najwięcej może ze wszystkich trzech sióstr przypominającej charakter matki, umiejącej sobie radzić, zapobiegliwej i zamięłowanej w zbieraniu mienia. Zofia w owej dobie była niejako opiekunką siostry; pamiętała o swych prawach starszeństwa. Chciała sama jechać do Polski, by pomódz zniekaną Annie, bronić jej od podejrzeń Stanów Koronnych. Na projekcie tym wraz skończyło się, i na przysłaniu listu, w którym czytamy pewnego rodzaju wyznanie wiary politycznej ostatniego przedstawiciela Jagiellońskiej Rodziny: „...Przed Panem Bogiem to powiadamy, którego oczy przenika a serca ludzkie — pisze Zofia w swem i Anny i Katarzyny imieniu — iż wiarą i życzliwością ku tej koronie, ojeździe najmilszej, nikomu nie damy naprzód, przy której i zdrowie położyć nie strachamy się... To już z nas każdy niech wie, jako rozumiemy ma — dodaje Zofia, poruczając Annę opiece panów rady koronnej — ani żadnych przyczyn nie znajduję na tę eną dziewczkę a ubogą, opuściła sierotę, za którą prosimy, będąc dobrej nadzieje i ufności w was, abyście jej nie opuszczali...“

Stanowisko dalekie od dążności do władzy i wpływów tem mniej zrozumianem było przez sterujących sprawami Rzeczypospolitej, iż obce dwory ubiegać się zaczęły o jej względy. Czyniono zabiegi, by ją dla siebie pozyskać, ustanawiano przy niej poselstwa, w kombinacjach dążących do pozyskania polskiej korony miano ją wciąż na względzie. Staje się ona igraszką w dłoni dyplomatów, którzy na szali swych przypuszczeń kładli domniemane małżeństwo królowej... Takie stawianie kwestji jej przyszłości, tem wstrętniejszem wydawało się Annie, iż o niej bez niej radzono. Poważna, zakonne niemal życie wiodąca matrona gotową była nawet spokój lat ostatnich żywota swego poświęcić dla umiłowanej ziemi rodzimnej, aby to jeno z dobrem onej ziemi było; ale ona miała prawo chociaż nieco względności od synów tej korony spodziewać się... niestety, i to odjętem jej było... Ubóstwiając swą wolność i drząc o urójone nawet jej uszczuplenie, stercnicy Rzeczypospolitej dość bezwzględnie obchodzili się ze swą „Infantką“ — jak ją mieniono.

Dziwne fatum mieć chciało, iż wszystkie projekta małżeństwa naszej, tak zwanej po zgonie Zygmunta Augusta „Infantki“, ściśle się łączyły, bądź z kandydaturą na tron polski, po Jagiello-nach opróżniony, bądź też z innemi politycznymi kombinacjami. Tak już było za dni Zygmunta Augusta. Zabiegi Ferdynanda, księcia Toskanji lub Magnusa, panującego w Holsztyonii, którzy przysyłali posłów do króla w sprawie małżeństwa z Anną, łączyły się ściśle z projektami pewnych politycznych korzyści dla pretendentów. Magnus pragnął w ten sposób zdobyć dla siebie Inflanty; byli i inni, którzy także mieli na względzie nader pomyślne dla siebie ziszczenia politycznych zamiarów. Podczas obu bezkrólew, po Zygmuncie Auguste i Walezym, ręka przeszło pięćdziesięcioletniej Anny odgrywała rolę ważną. Partya rakuzka, prowadząca na tron polski po Walezym cesarza Maxymiliana chciała ją wydać za młodzieńczego Ernesta, syna cesarskiego. O zgodzenie się Anny nie pytano, a nawet wielokroć drażniono jej niewieście uczucie wyliczaniem publicznem jej lat. Na każdym z dwóch bezkrólew projektowano kojarzyć przyszłego elekta związkami małżeńskimi z Anną. Litwini chcieli nawet do paktów konwentów dodać, żeby Henryk Walezy ożenił się z naszą „infantką“. Różnica lat trzydziestu wieku, jaka zachodziła między młodocianym Henrykiem a Anną, skłoniła koroniarzy, iż usunęli ten punkt z „Paktów“. Walezyusz przeto otrzymał jedynie

radę, życzenie Rzeczypospolitej, ale nie był to już warunek konieczny.

Podczas pobytu Henryka w Polsce Anna mieszkała w Krakowie, na zamku, gdzie jednak miała gmach oddzielny; odwiedzał ją tam nowy król, był dla niej grzecznym, i tłum łatwowierny mniemał, że z nią się ożeni.

Walezyusz wszakże o tem ani myślał.

Pomimo całej swej lekkomyślności wybornie on jednak rozumiał, iż ręka królowej Anny jest węzłem łączącym Rzeczpospolitą z tym, koby chciał mieć polską koronę. Po ucieczce więc do Francji, kiedy Walezyusz myślał o utrzymaniu się na tronie polskim i proponował księciu Ferrary, Alfonsowi, lub bratu swemu, księciu d'Alençon, wielkorządztwo w Polsce, zawsze z temi projektami łączył myśl, aby taki wielkorządca zaślubił naszą „infantkę“, Annę Jagiellonkę.

Każdy z owych zamiarów, gdy o niej bez niej radzono, był jej obcy, może nawet niejednym wstrętnym się wydawał; ale widzimy zawsze gotowość poświęcenia się dla kraju, jeżeli wskazywano, że jeden z rzeczonych projektów ma usłać drogę do lepszych ogólnych przeznaczeń. Wówczas ta matrona, już dość letnia, poważna, a prawie zakonna niewiasta, skłaniała głowę przed majestatem narodu.

Po ucieczce Walezyusza z Polski, gdy Jan Zamoyski wytworzył wśród rzeszy szlacheckiej powszechną opinią, iż nikt jeno „Piast“ — jak się wówczas wyrażano — miał być królem obrany, pod mianem tego „Piasta“, rozumiano nie kogo innego, tylko królowę Annę. Obierając ją „królem“, dawano jej za męża Stefana Batorego, księcia Siedmiogrodu. Plan tego rodzaju elekcji, osnuty przez Zamoyskiego, czynił zadość wielu sprawom: składano hołd umiłowanej przez naród ostatniej latorośli Jagiellońskiej Rodziny, a zarazem, za pomocą Anny, podnoszono blask imienia nowego elekta, nieznanego jeszcze na szerszych horyzontach, Batorego...

Dużo jednak przeszkód miał do zwalczenia ów plan misterny, w urzeczywistnieniu spotykający mnóstwo przeszkód. Gmin szlachecki, a prze-ważnie województwa południowe - wschodniego węgla Rzeczypospolitej, grupowały się około Zamoyskiego, Litwa zaś, część Małopolski i możne rody prowadziły na tron Cesarza Niemieckiego, Maxymiliana. Takich „cezaryan“ — jak mieniono wtedy stronników domu rakuzkiego — było wielu, a wszyscy przemożni: prymas Uchański, również stał w ich szeregach i obwołał królem Maxymiliana. Na elekcję oddającą koronę rakuzkiej rodzinie odpowiedziano wyborem Anny i Stefana Batorego. W piśmiennem określeniu tej elekcji naszej „infantki“ czytamy, iż „Anna ze Stefanem uważani są nie inaczej, jako za spolem obranych na tron polski; w razie jednak śmierci królowej, Stefan zatrzyma godność królewską.“

Zima kończąca rok 1575, a rozpoczynająca 1576, i miesiące wiosenne 1576 r., były świadkami wypadków torujących drogę do tronu Stefanowi Batoremu.

„Infantka“ Anna zgodziła się przyjąć ofiarowaną sobie koronę swych ojców i oddawała rękę Batoremu, lecz czyniła to jeno gwoździu dobru ojczyzny. Co do przyszłego małżonka, trapiły ją niemałe obawy. Anna była gorliwą katoliczką, o Stefanie zaś, o jego pojęciach religijnych krążyły różne a sprzeczne wieści. Ówczesny Siedmiogrod, nurtowany przez prądy różnowiercze, prawie już nie miał katolików: nowinki religijne wcisnęły się były nawet pod dach zamku Somlyo, rodzinnego gniazda Batorych. Trzy siostry Stefanowe, Elżbieta, Zofia i Anna, dawały powolne ucho podszeptom różnowierczym, a nawet później, wyszedłszy z zamą, zupełnie zespoliły się z różnowierczymi pojęciami; nic więc dziwnego, iż samego Stefana również pomawiano, iż jest różnowiercą, a co najmniej niezbyt gorliwym katolikiem, i to napełniało niemałą trwogą naszą bogobojną królowę... Czas rozproszył zarówno tę, jak i inne obawy.

Stefan Batory budził cześć przy bliższem poznaniu; posiadał wiele przymiotów, budzących

poszanowanie i podziw. Postępowanie jego, tak wobec zobowiązań i paktów zaprzysiężonych Rzeczypospolitej, jak i wobec Anny, było zawsze pełne rycerskiej prawości. Małżeństwo z naszą królową stało się dlań koniecznością polityczną, poddał się jej i spełnił wszystko, czego od niego wymagano.

Ślub Anny ze Stefanem Batorym, młodszym od niej o lat jedenaście (przyszedł on bowiem na świat w Nagy-Varadzie d. 27 Września 1533), odbył się prywatnie, w sali jadalnej mieszkania królowej, na Wawelu, gdzie naprędce urządzone był ołtarz. Nikt z rodziny, nikt z blizkich i drogich jej sercu, nie towarzyszył temu obrzędowi. Z okien owej izby jadalnej rozciągał się rozległy widok na miasto i błonia szerokie, widok dziwnie piękny, jedyny w swym rodzaju; z drutych zaś strony patrzyły okna tej komnaty ku katedrze, gdzie spoczywały trzy pokolenia Jagiellonów, co poprzedziły Annę na polskim tronie. Duchy ojców, którzy spełniali zacie obowiązków życia i królowania, towarzyszyły temu obrzędowi i błogosławiły mu. Był to hołd składany wielkiej zasadzie—poświęceniu; a hasła tej wzniosłej zasady nigdy obcami nie były owym opiekuńczym duchom naszej „infantki“. Ponad tłumem duchów przeszłość powiewała postaci, która życiem swem całem wskazała, jak daleko sięgać mogą granice poświęceń—powiewała postać Jadwigi... Poza cieniami przeszłości i wspomnień niewiele osób towarzyszyło zaślubinom królowej Anny; potężne liczbą i siłą stronnictwo, prowadzące na tron Cesarza Niemieckiego Maksymiliana, odciągnęło od Krakowa i murów Wawelu znaczną liczbę senatorów. Nawet Biskup Krakowski, gospodarz świątyni wawelskiej, nawet Prymas, zwykły koronator królów, nie przybywali na one dni uroczyste zaślubin i koronacji Anny i jej męża; nawet Radziwiłł, którego ongi Zygmunt August uczynił opiekunem naszej „infantki“, a ku któremu oglądała się ona, w chwili, gdy Batorego miała zaślubić, również nie przybył. Trzy czwarte czwarte senatorów trzymało się wówczas partii rakuzkiej i nieobecnością swą utrudniało Batoremu już ze swej natury bardzo trudne rządy w Rzeczypospolitej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## ZABIEGI PANA PIOTRA.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

— Nie przyszedłem pani ubliżyć i dlatego, ponieważ szanuję cześć twojego dziecka i radbym jej zapewnić możliwe szczęście....

— Swatasz ją z rzemieślnikiem!—krzyknęła.— Zerwała się, wyprostowała, wskazała ręką drzwi. „Wychodź!“ chciała zawołać, lecz zapanowała nad sobą i tylko powiedziała cicho:

— Żegnam pana—łkanie tamowało jej oddech. Hrabia wyszedł. Służba patrzyła na niego złośliwie, lecz z ostantacyjną grzecznością, jako na wielkiego pana.

— Spodziewałem się czegoś podobnego, lecz nigdy tak wspaniałej burzy — pomyślał i ze spokojem filozofa wracał do przyjaciela.

Hrabina słyszała wyjście niefortunnego posła i wtedy jej spazmatyczne łkanie zmieniły się w wybuchy nieokiełzanego gniewu.

Zaczęła dzwonić gwałtownie. Służba się zbiegała.

— Dla hrabiego Odrzykońskiego nie jestem nigdy w domu; malarza nie wpuszczać.

Służba się skłoniła w milczeniu.

— Czego stoicie?— krzyknęła.

Służba wyszła, hrabina za chwilę zadzwoniła powtórnie, wrócił kamerdyner.

— Hrabianka dawno wyjechała?

— Przed godziną, jasnie pani.

— Kiedy wróci?

— Nie wiem.

— Ty nigdy nic nie wiesz.

— Jasnie hrabianka nic nie mówiła.

Hrabina dała znak ręką, kamerdyner wyszedł.

— Przegrałam — powtórzyła, chodząc po pokoju — przegrałam tak nędźnie. Ten głupi Piotr.... Dostałam naukę, aby się z tą hołotą nie wdawać. Dworkiewicz używać do naszych spraw!—i Dworkiewicz zrobił swoje....

— Jak on śmiał, ten rzemieślnik, sięgać po moją córkę, choćby wzrokiem i mową! A ta głupia dziewczyna skompromittowała siebie i mnie na wieki—na wieki.... Tajemnica się nie utrzyma, jutro całe towarzystwo będzie o tem mówić.—Zalala się łzami i to jej ulgę przyniosło.

Zaturkotało na dziedzińcu; hrabina zadzwoniła gwałtownie.

— Prosić hrabiankę Izę — dała rozkaz.

Ostrzeżone przez pannę służącą, zaleknione i przerażone, dziewczę weszło.

— Czy dałaś upoważnienie?

— Dałam, mamó.

— Pozwoliłaś więc, aby ciebie, mnie, rodzinę skompromittował rzemieślnik?

— Artysta wielki, sławny artysta.

— Wielki, sławny — powtórzyła — dlatego, że umie lepiej od innych farby rozetrzeć, i lepiej położyć je na płótno. Czy, dając się porwać niedorzecznym mrzonkom, pomyślałaś, że zadajesz cios, straszny cios, nie tylko matce, która cię kochała, lecz młodszymi siostrami, które ci również składały dowody przywiązania?...

— Mamó!

— Czyś pomyślała?

— Myśleć o tem nie do mnie należało. Mama się zachwycała jego talentem, podnosiła jego piękność, dziwiła się dystygowanym manierom.

— Dziwiłam się, że człowiek tak niskiego pochodzenia, zwyczajny malarz....

— Szelegi są szlachcice.

— Więc cóż z tego? I kamerdyner nasz jest podobno szlachcicem, bo się na *ski* kończy. Dziwiłam się, że ten człowiek z gminu potrafił naśladować ruchy i całe ułożenie hrabiego. Lecz ty—ty, zapomniałaś o wszystkim, o swej godności....

— Dotąd nie zapomniałam o niej.

— Cóż to za ton, wobec matki?

Dziewczę się rozplakało; zgnębione, nieszczęśliwe, nie mogąc ustać na nogach osunęło się na fotel.

— Zapomniałaś coś winna swemu stanowisku i urodzeniu.

— Żałuję, żem przyszła na świat ze stanowiskiem, które mi tyle mężarni sprawia.

Matka załamała ręce.

— Izium! Co się z tobą dzieje? Tyś zmąsły straciła.

— Nie mamó, tylko żal mi rozrywa serce. Nie wiedziałam, żem popełniła zbrodnię, kochając szlachetnego człowieka i wielkiego artystę.

— Drzwi i okiennice zamykać! Coś ty powiedziała. Czy nie wiesz, że gdyby ktokolwiek słyszał wyraz ten wymówiony przez ciebie, okryłabyś hańbą nasz ród? Kto ci pozwolił oddawać serce człowiekowi z gminu, bez nazwiska, hołszowi, którego wielkością jest pędzel, a sławą i stanowiskiem protekcya hrabiego, narwanego dziwaka? Kto ci pozwolił?—szepiała, a głos jej syczał.

— Nikt mi nie zabraniał, nikt ani jednym wyrazem nie ostrzegł o zbrodni....

— Wychowałam cię, jesteś moją córką, masz dwadzieścia lat; nie miałam więc potrzeby ostrzegać cię. Ostrzegać — załamała ręce — ostrzegać moją córkę, aby się nie kochała w malarzu: to okropne! Cały świat jutro się o tem dowie. Czyś ty pomyślała, że będziesz niemożliwą w towarzystwie.... Hrabianka Lubońska miała romans z malarzem. — Zalala się łzami z gniewu i oburzenia; córka myślała, że z bólu i żalu.

— Mamó — wyciągnęła do niej ręce.

— Zostaw mnie samą i idź do swego pokoju.

Ledwo się portyera za nią zasunęła, rozległ się z budoaru odgłos dzwonka. Kamerdyner wbiegł

i wybiegł; za chwilę stanęła przed hrabiną Klarcia.

— Widziałas i milczałaś.

— Nic nie widziałam—odparła Klarcia ostro — a milczałam dlatego, bo mi nikt nie raczył zadawać pytań.

Hrabina poznała przeciwnika trudnego do zwalczania i dlatego z tem większą gwałtownością naradzała.

— Przed twymi oczami odgrywał się romans. Tyś go widocznie protegowała, może zjednana przez tego rzemieślnika.

— Pani masz zwyczaj ubliżać mi, ile razy jesteś w złym humorze, lub sama błąd popełniesz.

— Przestań — krzyknęła hrabina.

— Sama — powtórzyła Klarcia z mocą. — Nie należało dla ściągnięcia hrabiego sprowadzać do domu pięknego chłopca, chociażby był malarzem.

Hrabina oniemiała; zuchwałstwo Klarcii przechodziło w jej pojęciu wszelkie granice. Wpatrywała się w nią dziko.

— Należało domyślać się—mówiła dalej Klarcia — że piękny chłopak, mimo, że malarz, zasłoni w oczach romansowej Izi hrabiego, chociażby o tak potężnych ramionach i z tak starem nazwiskiem, jak ród Odrzykońskich. Należało się bliższych szczegółów dowiedzieć o człowieku, którego się wybierało na zięcia, i nie powierzać tak ważnej sprawy pocziwemu Dworkiewiczowi. Ja byłam od wszystkiego odsunięta, przede mną chowano tajemnicę. Zaledwo wczoraj udało mi się dowiedzieć, że hrabia jest skończony libertyn. Mniejsza z tem: gdyby się ożenił, musiałby chodzić do kościoła; lecz, co gorsza i straszniejsza, mówią, że ma żonę, którą trzyma gdzieś w ukryciu. Domyślają się, że to jakaś baletnica.

Hrabina zbliżyła się do niej.

— Co ty mówisz, co ty mówisz? — szeptała.

— Nie pokazuję jej światu, bojąc się narazić u dworu i matkę do grobu wpędzić. Cóż to tak nadzwyczajnego dla człowieka, którego religią jest sztuka, a jedynym przyjacielem malarz? To, czego się wczoraj dowiedziałam, można było wiedzieć przed miesiącem i uniknąć nieszczęścia.

— Kto ci mówił?

— Są to moje kościelno-zakrystyjne stosunki — odparła. — Dość, że ludzie mówią....

— Co począć? — szeptała hrabina, łamiąc ręce.

Klarcia, dumna z odniesionego zwycięstwa, stała, wyprostowana i pewna siebie.

— Mój kochany Oleś uratowany — pomyślała. Plotka o żonie hrabiego była użyta, jako ostatnie cięcie dla zgnębienia hrabiny.

— Corobić?—powtórzyła głośno Klarcia.—To, co każą okoliczności. Może nikt jeszcze nie wie o celu wizyty hrabiego.

— Służba!—Szalałam z ropaczy... Hrabia, któremu pokazałam drzwi....

— O, to nie dobrze — odparła.

— Bo co za bezczelność mieć odwagę znieważać mnie w moim własnym domu!

— Jeżeli on ożenił się z baletnicą, to, zdaje się, dla samego kontrastu, rad był ożenić malarza z hrabianką. Kontrast w sztuce odgrywa podobno wielką rolę.

— Nareszcie — mówiła hrabina jakby do siebie—on sam, ten malarz, będzie się chwalił przed całym światem, że miał romans z córką wojewodów, z moją córką.... Ha, co to za głupia dziewczyna! żeby tak nędźnie zmarnować całą swoją przyszłość!

— Młodość ma swoje prawa—szepnęła Klarcia.

— I ty byłaś młoda — zawołała hrabina—a jednak tak kolosalnych głupstw nie robiłaś.

Klarcia wierzyła, że i dziś również jest młodą. Ukłucie odczuła.

— Miałam rozum — odpowiedziała.

— Miałaś — powtórzyła hrabina — a dlaczego moja córka straciła go? Dlaczego?... Za co mnie Bóg tak przesładuje?—zalala się łzami. Czy podziały na Klarcie; czuła, że jest pomszczoną; czuła, że zwycięża i staje się panią sytuacji.

— Ciociu, Bóg nas doświadcza.

— Niech sobie doświadcza mieszczki lub szlachcianki zpod ciemnej gwiazdy! Rzucają mi w oczy szlachectwem malarza.... Boże, Boże, jakie ciężkie krzyże kładziesz na mnie—i za co i za co?

Cóżem zawiniła?—Osunęła się na fotel, głowę pochylała na piersi, ręce opuściła bezwładnie.

— Tylko spokojnie i mężtwo; będziemy się bronić—pocieszała Klarcia.

— Jak i czem?

— Jak nam każe rozum. A czem? Sprytem naszym.

— Ogłuszona, jakby uderzeniem piorunu, nie jestem w stanie myśli zebrać. Głowa mi się zawraca; czuję zbliżającą się migrenę.

— Chodź, ciociu, do łóżka. — Podźwignęła ją, zaprowadziła do sypialnego pokoju, rozebrała i położyła. — Odpocznie ciocia, przyjdzie do siebie, i, da Bóg, wybrniemy z nieszczęścia. — Spuściła w oknach zasłony i wyszła.

— Teraz ja biorę władzę w ręce i ja zaczynam działać — zawyrokowała.

— Olesiu, tyś powinien całe życie być mi wdzięcznym—szepnęła półgłosem.—Naprzód trzeba zabezpieczyć się przeciw wybrykom Izy. Bo kto wie? Z rzemieślnika, jak go ciocia nazywa, chłopak piękny, namiętny i przedsiębiorczy; umie się brać do rzeczy. Wprawy nabral w salonach wiedeńskich. Znam ja się troszkę na tem. Mogliby mnie i Olesiu figla spłacać.—Zrobiła minę poważną i surową i poszła wprost do pokoju Izy.

Dziewieczyna, stojąc przy oknie z założonymi rękami, płakała. Na odgłos otwierających się drzwi i szelestu sukni odwróciła głowę.

— Matka chora i nie życzy sobie, aby ktokolwiek wchodził do jej pokoju. Przepraszam cię; przyszedłem cię tylko ostrzedz.

Popatrzała na nią chwilę, a nie odebrawszy żadnej odpowiedzi, wyszła.

Dziewieczęciu serce nowem bólem się ścisnęło. Zaczynała wierzyć, że popełniła zbrodnię, przyprowadzając o chorobę matkę. Nowy potok łez, a z nimi żal i nieokreślona skrucha, zaczęły powoli opanowywać jej umysł.

Hrabia, zgnębiony, smutny, zły na siebie, wracał. Na rynku skinął na jednokonkę, wsiał i kazał się zawieźć do pracowni artysty.

— Przyjawni, jakże wielkie są twe ofiary!—zawołał, wchodząc.

— Cóż, cóż?—pytał wystraszony artysta.

— Ni mniej ni więcej, jak tylko pokazano mi drzwi.

Artysta zbladł, brwi ściągnął, usta zacisnął.

— Była najpewniejsza, że przyszedłem prosić o rękę jej córki dla siebie. Przeczynałem to. Wy, artyści, jesteście wpatrzni w naturę, w jej formy i piękność, lecz mało się zajmujecie....

— Widziałeś Iżę?

— Prócz matki nikogo. Teraz niezawodnie biją gromy w głowę biednego dziewczęcia.

— Trzeba ją ratować — szeptał artysta — niezbędnie, koniecznie ratować....

— Co ty mówisz?

— Ratować, ratować ją muszę.

— Jakim sposobem?

— Wykradam, uciekam, biorę ślub, jedziemy do Włoch, Hiszpanii, na Wschód, dając mamie dość czasu wydać się.

— To byłoby wyborne, miałyby pewne zacięcie oryginalności.

— I przekonałoby mamę, że artyści....

— Mamę nic nie przekona. Nie przebaczyłaby ci do śmierci, lecz toby mogło przekonać wielu ludzi w Polsce, że ożenienie się artysty z hrabianką nie sprowadza trzęsienia ziemi.

— A więc do dzieła. Należy wszystko przygotować do uciezki.

— Naprzód radzę ci, abyś się zabezpieczył ze strony dziewczęcia, czyli uzyskał jej zezwolenie.

— Nie przypuszczam, aby odrzuciła.

— A ja, niestety, przypuszczam. Hrabianki polskie mogą mieć dużo sentymentalizmu, lecz są to istoty bierno, wychowywane w sznurówkach....

— Mój drogi, będziemy mieli dość czasu na refleksy. Nie osłabiaj akcyi pesymizmem.

— Prawda, działaj więc. Ja tylko proszę o raporta i rozkazy. Możecie uciec wprost do mego majątku nad Dniestrem. Uprzedzę was o dwa-

dzieścia cztery godziny. Miejscowy ksiądz da wam ślub w zamkowej kaplicy, a ztamtąd przez Czerńnowce, Jassy na Wschód.

Artysta wyciągnął do hrabiego rękę.

— Zawsze tensam, szlachetny, dobry, wyrozumiały.

— Wyrozumiały! — powtórzył hrabia serdecznie. — Inaczej nie mógłbym być przyjacielem artysty.

(Dokończenie nastąpi).

## Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Lutym 1887 r.

Choć nie od dziś nawykliśmy do ciężkiego życia, nigdy może nie rozpoczynaliśmy żadnego roku w tak ponurej żałobie. I oto zaraz na wstępie złożenie izbie pruskiej sprawozdania z czynności komisyyi kolonizacyjnej postawiło nam żywo przed oczy postępujące nieubłagane naprzód dzieło wywłaszczenia. Systematyczność pruska umie szybko i praktycznie każde postanowienie zamienić w czyn i rzeczywistość: choć ukonstytuowana dopiero d. 24 Sierpnia p. r., komisyya kolonizacyjna nie zaległa jednak pola i już w pierwszych swego istnienia miesiącach, do końca minionego roku, zakupiła blisko 50,000 morgów, czyli 11,840 hektarów, ziemi polskiej, wydając około siedmiu milionów, ze stu milionowego zasobu, który ma dokonać na nas dzieła zniszczenia. Hektar przeciętnie wypadł po 568 marek. 87 fenigów. Bywały jednak fakta tak niesłychanego zniżenia ziemi, iż morgę płacono nie wyżej nad 56 marek. Obszar blisko 50,000 morg, powyżej wymieniony, rozpada się na jeden klucz pański z ośmiu folwarkami, szesnaście dóbr rycerskich i trzy chłopskie gospodarstwa. Najsrożej dotknięty Powiat Gnieźnieński, zda się służyć za właściwy plac experimentów kolonizacyjnych. Komisyya składa się z kilkunastu członków. Na jej czele zasiadają dwaj naczelni prezesi prowincyi Poznańskiej i Zachodnio-pruskiej, dalej siedmiu właścicieli dóbr i wyższych urzędników, pięciu kommissarzy rządowych, trzech urzędników pomocniczych, dwóch kancelistów i woźny, nareszcie trzech urzędników biurowych. Komisyya zbierała się po cztery razy na kilkuniedniowe narady. Oddano jej do rozporządzenia sześć pokoi i salę posiedzeń w gmachu regencyjnym. Z pewnym umyślnym a złowrogim naciskiem, z ostentacją dążącą do poniżenia przeznaczonego na zagładę żywiołu, komisyya głosiła, iż ni mniej ni więcej jeno 140 majątków dobro- wolnie jej zaproponowano. Pod sromem tej insynuacyi posłowie polscy postawili stanowcze zapytanie: azali wszystkie owe propozycye od polskich wyszły właścicielom? Przyparty do muru, minister Lucius nie umiał dać na to wyjaśniającej odpowiedzi; wszelako posłowie nasi dotarli do prawdy i od stołu ministerjalnego przyznano, iż większa część owych majątków należała do niemieckich właścicieli, a nawet te, które, w polskich zostając ręką, na liście żądań się znalazły, najczęściej wcale nie przez polskich właścicieli zaproponowane były komisyyi, jeno przez agentów sprzedaży, którzy, nie pytając o upoważnienie, na własną rękę rozpoczynali rokowania, nie z pojedynczym kupcem, lecz z komisyyą kolonizacyjną. Najszlachetniej myślący obywatele, ludzie gotowi do największych ofiar i poświęce- nia, nieraz w ten sposób skompromittowani zostali przez agentów działających bezwzględnie i samowolnie. Zrazu właścicieli niemieckich odsy- lano z kwitkiem, chcąc wyłącznie polskich wykupować panów; praktyczność wzięła jednak górę, a postawiwszy sobie za hasło, że każdy interes dobry, byle tani, nie wahano się tu ówdzie i niemieckie odkupywać dzierżawy, gdy się te lepiej do celów kolonizacyjnych nadawały.

Nienawisć plemienna, jak tedy widzimy, nie zgłasza względów dobrej gospodarki miliono-

wym kredytem. Owszem, komisyya dba o korzy- stne ulokowanie powierzonych swemu szafarstwu funduszków — żąda bowiem trzy procent od wyło- żonego kapitału, co na dzisiejsze stosunki bynaj- mniej niżką nie jest stopą. Aby zapewnić po- dobne odsetki, kolonista musi się zobowiązać do płacenia siedmiu blisko marek z morgi, a po trzechleciu swobody, gdy do tego się przyłączą podatkowe ciężary, los osadnika wcale nie będzie tak różowym. Stosunkowo też daleko więcej się zgłasza do komisyyi kandydatów na zarządców i administratorów nowych włości, aniżeli na koloni- stów. Wszelako już i tych się znalazło około dziewięciuset, z których mniej więcej część trze- cia rozporządza pewnym kapitałem. Chętni owi znajdują się w różnych stronach Europy, ba! na- wet w Ameryce. Podobno osiedleni nad Morzem Czarnem niemieccy koloniści, w zwrotnej ku oj- czyźnie wędrówce, postanowili na piastowskim osiać zagonie i zdziczałemi przez długi na kresach cywilizowanego świata pobyt jednostkami, roz- począć rzekome szerzenie kultury na polskim gruncie.

Tak się przedstawia bilans czynności koloniza- cyjnej za rok przeszły. W Styczniu rozpoczyna- jącego się nowego okresu znów cztery włości padły ofiarą zamierzonego osadnictwa, a sprzedaż jednej z nich, nietylko żałobą lecz i wstydem całe nasze okryła społeczeństwo. Dotąd bowiem po- jedyncze tylko osoby, nieraz ostatecznością rui- ny do ostateczności rozpacz i zwątpienia przy- wiedzione, ulegały, pokusie czy konieczności, i wy- zuwały się, czy wyzuwać dawały, z ojcowizny; przed kilkoma zaś tygodniami zbiorowa polska instytucya, Bank Kwilecki Potocki i Spółka do- puścił się już hańbiącego czynu, wieś swą Radłowo sprzedając dobrowolnie komisyyi, po dwukrotnych i długo prowadzonych pertraktacyach. Fakt ten wstrząsnął całym naszym społeczeństwem i obru- szył je do żywego: z surowością bardzo stosowną opinia publiczna odwróciła się od sprawców tego czynu, odsunęła ich od wszelkiego udziału w ży- ciu obywatelskim, napiętnowała ich oburzeniem i wzdargą. Zdawało się, że bank ratujący w ten sposób — nie godność własną, lecz interes chwilo- wy, runie bezwzględnie, tak zewsząd jęto wyco- fywać depozyta w takie złożone ręce. Ale, co najsmutniejsza, sprzedaż Radłowa przez pol- ską instytucyą bankową dokonana, okazała się policzkiem danym całej akcyi ratunkowej, i niestety! zadała cios niemały przyszłości za- lożonego świeżo Banku ziemskiego w Poznaniu. W ostatnim liście moim pisałem wam o ofiarności ogólnej, o składanych dobrem sercem kosztowno- ściach, o rosnących funduszach bratniej pomocy i fenigowych jałmużn. Utaić sobie dziś nie można iż czyn, którego się dopuściła dyrekcya banku Kwileckiego, zły wpływ wywarł. Mimo jednak niepomysłnych warunków, instytucya ratunko- wa ostatecznie 25 Stycznia ukonstytuowała się, zamierzając wypuścić za trzy miliony marek akcyi, a działanie swe rozpocząć, gdy rozporządzać będzie czwartą przynajmniej częścią ogólnego kapitału. Przedewszystkiem nowy bank nie chce być zakładem miłosernym. Owszem, wśród biedy krajowej, nie godzi się na szwank wysta- wiać funduszków i ofiar, które w tym razie po- winny się procentować. Interes dobrze zrozumia- ny i prowadzony jest przeciw istocie bytu każde- go przedsiębiorstwa; inaczej od razu chroma i chybia celu. Tylko, jeśli dobrze rozumiemy myśl założycieli, bank ziemski w Poznaniu, zamiast ratować większą własność, inne ma całkiem za- miary. Wydana od roku walka przedewszyst- kiem jest kastową. Doświadczenie rządzących uczy, iż ludu jednym zamachem pióra nikt nie zgładzi, nie przerobi, nie zniemczy. Germaniza- cya trwać będzie lata, może i wieki, a w chatach jeszcze zostanie i zachowa się dawny obyczaj, mowa, tradycya, wiara przodków. Dziś chodzi o co innego: o zagładę klas przewodnich, a gdy u nas średni stan bardzo mało dotąd się wyrobił, ostatecznie klasą przewodnią była dotąd wyłącz- nie szlachta, wespół z duchowieństwem. Spróbo- wano osłabić i przerzedzić szeregi duchowień- stwa trwającym od lat piętnastu *kulturkampfem*. Dziś zabrano się do szlachty. Nowy bank tedy, zwątpiwszy niemal o ocaleniu szlachty, z której

tylko bogatsze, silniej oparte jednostki przetrzymują burzę, zamierza przedewszystkiem inne urządzić posterunki, przez parcellacyą ziemi między chłopów, popieranie przemysłu małowiejskiego, i t. p. Jest coś bohaterskiego w całym tam założeniu: szlachta myśl podnosi, szlachta stawia na czele, na wylomie, nie o własnej nie myśląc korzyści, wyrzekając się z góry pomocy i ratunku, byle nie siebie, lecz zagrożoną ratować warownię pospolitego dobra.

W tej chwili rozwiązanie parlamentu zgłuszyło wszelkie inne zamiary i zachody. Walka wyborcza wre gorączkowo, pod pięknymi hasłami, że jakimkolwiek będzie powodzenie, choćby, południku sądząc niemożliwym się być zdało, wszyscy powinni sprostać obowiązkowi i stawić się do urny wyborczej. Niema prawie dnia bez zebrań i prac wyborczych, odbywających się we wzorowym porządku. Miło widzieć, iż mimo ciernistego zadania posłów naszych nie braknie nowych zaciągów, aby stargane zastępować siły. Wśród stawianych kandydatów postrzegamy pełno młodych nazwisk i młodych szermierzy: z ich liczby wymieńmy: ks. Zdzisława Czartoryskiego, garnącego się nie od dziś do służby obywatelskiej, dra Tadeusza Jackowskiego, syna zasłużonego patrona kółek włościańskich, zdolnego adwokata dra Plucińskiego, nareszcie młodego hr. Żółtowskiego, który byłby już siódmym członkiem tej samej rodziny, poświęcającym się za dni naszych przykrych i bolesnej służbie poselskiej. Szczupły zastęp naszych szermierzy poniósł świeżo niezastąpioną stratę przez śmierć ś. p. Kazimierza Kantaka, jednego z najwytrwalszych i najdzielniejszych obrońców krzywdy naszej przed forum sejmowym. Wystarczy przypomnieć, iż on wytrwał przez lat dwadzieścia trzy na trudnym posterunku, że wywalczył sobie osobne zachowanie nawet u niechętnie słuchających głosy polskie niemieckich kolegów, że zdobył sobie uwagę izby, celował w trafnych odpowiedziach, okolicznościowych wystąpieniach, gruntownie odpierając nienawistne i nieuzasadnione zarzuty, jakimi zwykli walczyć nasi przeciwnicy. Urodzony w r. 1824, w Poznaniu, Kazimierz Kantak był jedną z najwybitniejszych postaci naszego społeczeństwa. Wyrzekł się on rodzinnego życia, nie zaznał domowego szczęścia i poświęcił się wyłącznie zawodowi poselskiemu. Prawość i czystość jego charakteru ogólny mu pozyskały szacunek. Głos jego pierwszy podniósł się w Sejmie Pruskim w obronie kardynała Ledóchowskiego, który szczególną dła zachował wdzięczność. Kantak głównie szkolnemi sprawami w sejmie się zajmował i z dokładną znajomością przedmiotu upominał się za systematycznymi krzywdami, których na polu nowego szkolnictwa pruskiego doznajemy. Żadna też krajowa instytucja nie była nieboszczykowi obojętną: zimę przewalczał w Berlinie, latem śpieszył do wód galicyjskich, popierając ze wszystkich sił rozwój Towarzystwa Tatrzaskiego. Załoba ta przygodna zamknęła obfity w kłeski rok 1886. Pogrzeb zaś tak zasłużonego męża raz więcej ujawnił dodatnio świadczące o naszym społeczeństwie uczucie wdzięczności. Dawno bowiem nie pamiętano podobnie gromadnego hołdu i równie serdecznego udziału wszystkich warstw obywatelskich....

(Dokończenie nastąpi).

## DZIEDZICZNOŚĆ PSYCHOLOGICZNA.

(Dokończenie).

Dziedzicznymi są również namiętności. Najwyraźniej występuje to w namiętności do alkoholu. Z rodziców oddających się temu nałogowi rodzą się dzieci z usposobieniem do pijaństwa, które czasami w bardzo młodym wieku się przejawia, albo też dzieci przedstawiają inne anomalie, jak lenistwo, chęć do kradzieży lub zabójstwa. Statystyka więzienna jest pod tym względem bardzo ciekawą i wykazuje, że większość przestępców

była potomkami rodziców oddających się pijaństwu.

Przyjrzelśmy się wpływowi dziedziczności na oddzielne osobniki; teraz zobaczymy, jak pewne cechy psychologiczne przekazują się taksamo w narodzie, jak w rodzinie. Summa cech psychicznych, które odnajdujemy w historii narodu nazywa się *charakterem narodowym*.

Jeżeli jeden naród jest czynny a drugi ospały, jeżeli jeden posiada religią wewnętrzną i moralną, drugi zaś zewnętrzną, przemawiającą tylko do zmysłów, to przyczyny szukać należy w charakterze narodu.

Przytaczaliśmy powyżej ludzi genialnych i utalentowanych, jako przykład, lecz każdemu wiadomo, jak pewne rodzaje wyobraźni, inteligencji, usposobień i wrażliwości przechodzić także mogą w rodzinie średniej, lub ze zwyczajnej klasy na potomków; każdy posiada w swojej rodzinie a raczej we własnym doświadczeniu, wielką ilość dowodzących tego przykładów. Trwałość charakteru narodowego jest wynikiem i zarazem dowodem dziedziczności charakteru.

Naród Francuzki charakteryzuje się: miłością oręża, gustem do błyskotek, lekkomyślnością, próżnością, dowcipem, wielką łatwością mówienia (*blague*), są to zalety i przywary, które na wielu bardzo pokoleniach stwierdzić się dają.

Bardzo uderzającym przykładem niezmienności charakteru narodowego są dzisiejsi Grecy. Mimo takiej zmiany losów—mówi Ampère—natura grecka nie zmieniła się wcale.

Krzyżowanie się ras zaciera w wysokim stopniu charakter narodowy; dlatego przyjrzymy się bliżej dwóm rasom, które najmniej temu wpływowi uległy, t. j. żydom i cyganom, a u których charakter narodowy przeszedł dziedzicznie od najdawniejszych czasów ich egzystencji po dzień dzisiejszy.

Ze strony fizycznej odznaczają się żydzi ciemnym kolorem włosów i zarostu, długimi rzęsami, gęstymi łukowatymi brwiami, wielkimi, ciemnymi i żywymi oczami, cerą ciemną i nosem orlim; mniej więcej wszyscy mają jednakowe rysy. Są oni po największej części długowieczni. Co do moralnej strony charakteru żydów, przedstawia się on w historii z wyraźnymi cechami: przeważają w nich uczucie i imaginacja, co usposobiło żydów do tworzenia religijnego, poetycznego i muzycznego.

Cyganie dają nam zadziwiający przykład dziedziczności pewnych cech psychicznych.

Nie podlega wątpliwości, że cyganie najrozmaitszych krajów, najrozmaitszych klimatów, mają taką samą budowę ciała i takiesame własności duszy.

Ostre i surowe rysy, włosy czarne jak heban, zęby drobne i białe, oczy błyszczące, wzrok czarujący.

Oto charakterystyka psychologiczna cyganów: lekkomyślni i swawolni jak dzieci. Wierzą we wszystko i w nic, a raczej wierzą we wrażenia istniejące, wrażenie zaś, które przeszło, jest dla nich niczem. Jedno wrażenie goni drugie, zwierzęcość ma nad nimi przewagę. Powierzają się chwilowemu wpływowi taksamo, jak puszczają się w wędrówkę na los szczęścia.

Wzruszenia też wszelkiego rodzaju, poetyczne lub poziome, są niejako prawidłem i motorem dla ich duszy. Przedewszystkiem charakteryzuje cygana wrodzona potrzeba włóczęgowstwa i życia pełnego przygód. Cywilizacyą uważa za niewolę, wszelkie zajęcie ciągłe i prawidłowe wzbudza w nich odrazę. Małżeństwo jest czasowym związkiem, zawartym w przytomności kilku członków bandy. Nienawidzą ucywilizowanych, odznaczają się kilku występkami otoczonemi pewną czią religijną np. okradzenie Chrześcijanina; matki uczą swe dzieci złodziejskich fortelów, jako najpiękniejszej enoty. Cyganie zwykle wyznają religią tych ludów, wśród których żyją.

Plemię cygańskie daje nam ciekawy przykład niemożności przystosowania się do życia cywilizowanego, a kto nie może zastosować się do nowych warunków życia społecznego, musi zginąć, może powoli, ale zawsze zginąć musi.

Taksamo jak potomstwo dziedziczy po przodkach normalne władze zmysłowe, taksamo zu-

pełnie dziedziczy wszelkiego rodzaju zбочzenia, to jest: choroby nerwowe i umysłowe. Choć medycyna nie zawsze jest w stanie wykazać przy chorobach umysłowych zmianę anatomiczną lub mikroskopijną w ośrodkach nerwowych, to pomimo to wątpić nie można, że choroby umysłowe są wyłącznym skutkiem tych zmian. W każdym podręczniku psychiatrycznym znajdujemy setki przykładów dziedziczności chorób umysłowych, tak, że nawet idealisci skłaniają się do takowej.

Dziedziczność ta jest po największej części zmienną t. j., że z rodziców np. historycznych rodzą się dzieci, które w następstwie cierpią na hypokondryę albo na obłęd, kiedy indziej znowu z cierpiących na epilepsyę rodzą się dzieci z usposobieniem do samobójstwa lub zabójstwa, które następnie przechodzi w chorobę umysłową.

Kiedy mowa o histeryi, niech mi wolno będzie w tem miejscu, zastanowić się cokolwiek bliżej nad sposobami zapobiegania i leczenia jej, o których już oddawna zamierzałem laskawym czytelnikom *Bluszczu* kilka słów powiedzieć.

Głównym celem leczenia tej choroby jest zapobieganie rozwinięciu się ciężkich jej symptomatów. Dlatego należy od samego początku zwracać baczną uwagę na wychowanie dzieci pochodzących z rodziców nerwowych lub mających wrodzone usposobienie do histeryi. W tym celu należy przedewszystkiem niedogadzać dzieciom w ich miłości własnej i to już wtedy zaczynać, kiedy jeszcze pozostają na rękach mamki lub piastunki. Często bardzo mamy w tem wielką trudność do pokonania, gdyż zwykle dziecko dziedziczy usposobienie od matki historyczki, która, będąc sama w ciągłym rozdrażnieniu, traktuje je raz za surowo, drugi raz znowu bywa zanadto pobłażliwą. Przy takich warunkach dzieci powinny być oddawane na wychowanie do kobiet znanych ze stałości charakteru, bądź to nianki, guwernantki lub jakiej krewnej. Następnie wielką rolę odgrywa dogładanie fizycznego rozwoju dziecka, t. j. aby było dobrze karmionem, aby pokarm był prosty, obfity, pożywny, i aby z dzieckiem nie obchodzono się, jak z chorym, t. j., aby nie mówiono o jego dyecie, nie przyuczano do wystrzegania się pewnych pokarmów. Godziny przyjmowania pożywienia i snu winny być ściśle przestrzegane; trzeba pozwalać dzieciom bawić się wiele na świeżem powietrzu, osobiwie zaś baczyć, aby zabawy te zajmowały uwagę i jednocześnie kształciły jego umysł.

Nie podlega wątpliwości, że skłonność do histeryi zmniejszałaby się, gdybyśmy uczynili przystępnymi dla dziewczyn rozmaite gałęzie czynności pożytecznych. Usuwanie samych symptomatów choroby należy do najtrudniejszych zadań medycyny i może być wyłącznie przez doświadczonego, o silnej woli, lekarza prowadzonym. Chore muszą zaś ślepo mu wierzyć i poddawać się jego rozkazom; inaczej zamierzony skutek ani w części osiągnięty być nie może. Dla niedopuszczenia historycznego paroxyzmu, albo też przerwania go, najlepszym środkiem jest zimna woda, którą należy zbryzgać twarz i piersi chorej; dobrze także jest na kilkanaście sekund zacisnąć ręką nos i usta, i nie pozwolić chorej oddychać. Niezmiernie wielkie znaczenie posiada wpływ moralny. Histerya jest dziedziczną, jak wszystkie choroby nerwowe, i niestety!—chorobą coraz bardziej rozszerzającą się w dzisiejszem społeczeństwie.

Nie wszyscy myśliciele a między nimi i znakomity Anglik Buckle—zgadzają się z Ribotem co do jego zapatrywania się na dziedziczność psychologiczną; nie podobna jednakże nie przyznać, że poglądy jego, według dzisiejszego stanu nauki, są najracjonalniejszymi, i że zdrowo myślący człowiek, inaczej na tę kwestyę zapatrywać się nie może. Dowodzi on w dalszym ciągu swego dzieła, że dziedziczność psychologiczna jest prawem i jakie za sobą pociąga następstwa. Nie będziemy uwagi szanownych czytelniczek nużyć dosyć suchymi wywodami, tusząc, iż z powyższego potrafią sobie wyrobić pojęcie i właściwy sąd w tej nader zajmującej kwestyi naukowej.

Dr J. Starkman.

## NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 30 Stycznia 1887 r.

Horyzont polityczny. — Strach. — Proces anarchiczny. — Ograbienie hotelu pani Lemaire. — Nauczanie i oświata. — Przeladanie. — Nauczanie młodych dziewcząt. — Sawantki bez chleba. — Walka Byków (Torreros) w Paryżu. — Pierwsze próby „Francillon”, nowej komedii Dumasa. — Charakterystyka i treść tej sztuki. — Jaka jest i jaka być mogła? — Straty w dziedzinie sztuk pięknych. — Śmierć rytmownika Gaillarda i malarza na szkło, Maréchała. — Kilka szczegółów o pracach tych artystów. — Smutna śmierć poetki Adeli Esquiros.

(Dokończenie).

Dowcip Dumasa tkwi bardziej w konwencyonalnym sposobie używania pewnych wyrazów, niżeli w samych tych wyrazach; jest to bardziej cień, niż rzeczywistość. Wysłowienie jego, subtelne, jak blask światła, jak miła woń kwiatu, nie nadaje się zawsze do tłómaczenia.

Ale wracam do *Franusi*. Przedmiotem komedyi jest ów smutny, tutejszy zwyczaj, niestety, dość częsty, że pan mąż do cudzych bogów lubi się modlić, a temi bogami są boginie. Uchodzi mu to, albo nie uchodzi, mniejsza o to. W tej sztuce nowej Dumasa nie uszło na sucho, i że na *alias* Francillon, postanawia się zemścić i oddać *zab za zab! oko za oko!*... Ale że wyłupić sobie oko nie tak łatwo, jak skrzydła osmałić; więc pani poprzestaje na odwiec fikcyjnym—co przecież w komedyi sprowadza zamierzony skutek—bo mężulko, ostrzeżony, powraca ze skruchą do ogniska domowego, myśląc zapewne w duchu o tem, co już mądry Salomon powiedział niegdyś, o węży sliżgającym się po trawie.

Małenkie — jak widziacie są to ramki — bo też i sztuka jest w trzech aktach tylko. Niema tu ani zawilej intrygi, ani dziwnych i nieprzewidywanych sytuacji, bo od początku do końca widzi każdy, na czem się rzecz skończy. *Franusia*, jest to kobieta i żona, która chociaż wesółą, dobrze się trzyma na nogach i nie poślizgnie się—można być pewnym,—aż do upadku. Jegomość jest to wręcz cymbał, jakich tu wielu... zepstuty i rozpuszczony; mając dużo pieniędzy, szuka — sam nie wie czego—szuka guza i dostaje go. Jakkolwiek bądź, mąż z boginią bawi się nie na żarty, a żona chwytą na balu pierwszolepszego młodego aplikanta od notaryusza, i z nim zjada kolacyjkę w gabinecie przez ścianę tylko z tym, gdzie biesiaduje małżonek. Jak mówiłem, po tym platończym eksperymencie wszystko się wyjaśnia, i sztuka się kończy wykrzyknikiem *Franusi* samej, że skłamał aplikant, jeśli mówił, że zjadł coś więcej prócz dobrej kolacyi.

Nie żądamy więcej... bo cała rzecz jest prowadzona, tak płynnie, tak gładko, że choć i jest jakie niepodobienstwo w pewnej sytuacji, wszystko niepostrzeżenie przechodzi, zaprawione dowcipem, który strzela, nietylko w każdej scenie, ale w każdym prawie słowie, tak go tu wiele; a aktorowie Teatru Francuzkiego, jak prawdziwi Francuzi, grali niezrównanie!

Lecz jeśli można coś zarzucić układowi sztuki obywatelskiej się bez intrygi i prawie bez interessu, to niepodobna nic ująć samemu wykonaniu. Jest to obrazek z życia dzisiejszych Francuzów. To, co Dumas o nich mówi, wzięte z natury, a definię „bogini” przepyszna.

Skruszono już kopie za Dumasem i przeciwko niemu. Jedni nie mogli go dosyć wychwalić, jako moralisty i jakby przepowiadacza nowej etyki, i usiłują wywieść z tej sztuki konkluzję, o jakich sam autor nie myślał; drudzy, zarzucają mu czczość tendencyi wyczerpanych, i niedostateczność pod względem sztuki dramatycznej. Wszyscy ci panowie krytycy, prawie bez wyjątku, starają się wleźć na ramiona Dumasa, aby samych siebie wywyższyć.

Sztuka w całości swej, w głównych zarysach, nie jest niemoralną, to rzecz pewna... Ale ponieważ maluje to, co jest wynikiem pewnego zepsucia i niemoralności, i maluje z wdziękiem ko-

lorytu i przepychem, przy którym subtelność walczy o lepsze z blaskiem żywej wyobraźni,—pewien więc jestem, że wrażenie Francillon na wielu, wielu młodych umysłach zostawi więcej śladu tej zgnilizny *sui generis*, tego grzybka zepsucia, który czepia się najzdrowszych latorośli i brudzi je i plugawi, niedostrzeżonym prawie, jak oddech zarazkiem.... Nie wynika to z intencji autora, ale kiedy się przyprawia takie trucizny, zawsze coś zostać musi na rękach...

Śmierć zabrała, w samej sile wieku największego z rytmowników szkoły francuzkiej, Ferdynanda Gaillarda. Urodzony w 1830 roku, Klaudyusz Ferdynand Gaillard zostawił po sobie cały szereg niezmiernie znakomych prac, niezmordowanego ryłca. Wierny tradycjom największych mistrzów XVI i XVII wieku tej sztuki, dążył on zawsze i ciągle, aby się zbliżyć do nich czystością ryłca, lekkością i blaskiem wykonania. Z pierwszych dzieł jego pozostanie na zawsze, jako najpiękniejszy okaz jego talentu, znakomity *Święty Sebastyan*. W drugiej i ostatniej fazie talentu zaszedł on niezmiernie wysoko, jako sztycharz portretów. W tej liczbie, wysoko artystycznych dzieł tego artysty pierwsze zajmuje miejsce *Portret Papieża Leona XIII*. Jest to arcydzieło.

Gaillard zmarł na straszną chorobę raka w żołądku; był bezzennym, i zostawił tylko matkę staruszkę, mającą dziś 86 lat wieku.

W pracowni znaleziono niedokończone dwie ważne tablice: *Wieczera Pańska*, podług Leonarda da Vinci—i według tegoż malarza portret, znany pod nazwą *Gioconda* w Muzeum Luwru.

Drugą, równie ważną stratą dla sztuki we Francyi, jest śmierć Karola Laurentego Maréchała. Urodzony w Metz, około roku 1800, dożył on w późnej starości tej ciężkiej chwili, kiedy ojczyzna przeszła w obce ręce. Chociaż po większej części przebywał w głębi Francyi, gdzie nawet miał piękną posiadłość, zawsze jednak często bardzo odwiedzał rodzinne strony, aż do fatalnej epoki 1871 roku. Odtąd zaprzestał tych podróży, ale też pogrążony w swem smutku, niechętnie mówił, nawet z najbliższymi sobie, o tych wypadkach i o tej ciężkiej stracie. Rzecz dziwna, stary ten artysta, wyszły z ubogiej rzemieślniczej rodziny, długi czas w młodości prosty czeladnik siedlarski, chociaż nie zaznał nigdy wielkiego szczęścia w rodzinnem mieście, kochał je namiętnie prawie, a kiedy się stał wielkim w swoim zawodzie mistrzem, najpiękniejsze może z prac swoich poświęcił ozdobie świątyni rodzinnego miasta. Po nieszczęsnych wypadkach wojny, które oddały Metz w niemieckie ręce, jakgdyby do grobu złożył najmilszą osobę, zamknął wspomnienie w sercu i milczkiem nosił ciężką żałobę. Wielki to i piękny przykład!...

Oddany w początku malarstwu olejnemu, przeszedł następnie do pastelów, które mu zjednały znaczny rozgłos i rozmaite premii i nagrody. Ale obdarzony żywym i niespokojnym umysłem, w poszukiwaniu doskonałości, około roku 1840 poświęcił się całej sztuce malowania na szkło i, znalazłszy tu właściwą drogę dla swego talentu, doprowadził wkrótce tę nową gałąź artystyczną do takiej doskonałości, że jego imię stało się prawdziwą chlubą rodzinnego miasta, a dzieła były poszukiwane we Francyi i w Niemczech i cenione na równi z najlepszymi okazami dobrej epoki tej sztuki. Odnalazł on i udoskonalił wiele ze starych sposobów używanych przez dawnych malarzy, a używane przez niego kolory, błękitne, ponsowe i żółte, znane są pod jego imieniem.

Wraz z udoskonaleniem sztuki malarstwa na szkło rozpowszechniło się jej użycie i zamilowanie. Mnóstwo starych i nowych kościołów w Paryżu i na prowincyi ubiegało się o te wspaniałe prace znakomitego artysty. Mógł on powiedzieć w swym smutku dni ostatnich, te pocieszające słowa: „Exegi monumentum”—krócej to trwało zapewne, niż spiże—ale pamięć i chwała zostaną.

Powinieniem być zacząć moje kronikę od tego na czem ją skończyć muszę, bo w tem piśmie, przeznaczonem dla kobiet, pierwsze im też miejsce się należy, jak wszędzie, ale, że tu rzecz idzie o tych, którzy nas odeszli, powiedzmy słówko o tej, co

miała swą chwilę powodzenia, rozgłosu, a umarła samotnie i w zupełnem prawie zapomnieniu.

Adela Batachon, zameżna później Esquiros, rodziła się w Paryżu 1810 r. Piękna, strojna w młodości, o kruczonych włosach i o czarnych palających oczach, należała ona do tej pamiętnej falangi *des Vésuviennes*, która w 1848 roku, miała pewien rozgłos wśród owych fantastycznych improvizacji, jakimi się odznaczyły pierwsze chwile rewolucyi na bruku paryżkim. Adela odznaczająca się piękną, jak mówiłem, powierzchownością i żywą poetyką imaginacją, spotkała na swej drodze, człowieka obdarzonego darami umysłu i ciała. Był to Alfons Esquiros, Marsylianin najczystszej wady, zagorzały demokrata i poeta. Spotkanie się tych dwóch istot zapalnych i siarczystych musiało sprowadzić wybuch serdeczny. Pobrali się, ale ten związek zerwał się wkrótce. Esquiros, pogrążony cały w najskrajniejszych wybrykach, klubów i stowarzyszeń wszelkiego rodzaju... używając poetycznych zdolności, jako zapalnej pochodni, prędko bardzo się znużył domowym spokojem, a z nastaniem Drugiego Cesarstwa, schroniwszy się do Anglii, znalazł tam nową pocieszycielkę i o biednej poetycznej Adeli zapomniał zupełnie.

Pani Esquiros nie zapomniała przecież o nim, ale kiedy jej odezwy zostawały bez odpowiedzi, zwróciła się do swoich dawnych natchnień—i śpiewała na cześć miłości, jak dawniej, natchniona hymny. Same tytuły powiedzą, co się tam zawiera. Dziś te utwory biednej poetki są prawdziwą rzadkością: *L'Amour, Les Amours étranges, Les Marchandes d'Amour*. Próbowała nawet poezyi w dziennikarskiej formie. Zaczęła wydawać tygodnik pod tytułem: *Siostra Miłosierdzia*, ale wydawnictwo to po kilku numerach wyzionęło ducha.

Adela Esquiros była jedną z pierwszych niewiast, które w owe czasy 1848 r. podniosły sztandar emancypacji kobiet i domagały się tego, co i dziś jeszcze stanowi wielkie hasło ich postępu. Czy te dążności urzeczywistnią się kiedy, lub nie, rzucmy garstkę ziemi na grób, tylko co zamknięty tej, która kiedyś miała tu imię głośne: *poetki i córki apostołskiej zbawienia kobiet*, a która, przy szczupłej pomocy Towarzystwa Literackiego, zgasiła w małym skromnym pokoiku, przy ulicy Bagnolet, gdzie zupełna utrata wzroku, przysłała powiększyć jeszcze męczarnię, zupełnej niemocy. Dla nieszczęśliwej ofiary losu—i własnego usposobienia—przygniecionej niedostatkiem, tkniętej paralizem, śmierć, zaiste, nie była wrazeniem, gdy zapukała do drzwi.

## Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Piękno ludzkiego ducha**, widziane w świetle uczciwego czynu, tak serca pokrępią, że godzi się głosić stwierdzające je fakta. Dwa lata temu kobieta, przybywająca ze wsi, przyprowadziła do jednej z tutejszych szkółek ludowych syna, który przecież już się nie kwalifikował do nauki pomiędzy drobną dziatwą, bo był to wyrostek, liczący rok czterenasty. Ale matka tak prosiła, chłopcu tak dobrze patrzyło z oczu, że przełożona szkoły nie miała serca odprawić ich z niczem i potem winszowała sobie tego, bo chłopiec okazał się nietylko bardzo pilnym, ale bardzo pojętym i tak nauki chęciwym, że zdawał się polykać każde słowo, które mu jakiś promyczek wiedzy dawało. Tak było przez sześć miesięcy, aż nagle chłopiec ze szkoły zniknął, że ostaini miesiąc nauki nie zapłaciwszy, ale takie rzeczy zdarzają się niejednokrotnie w szkołach ludowych, gdzie niemożność rodziców naukę dzieci nagle przerywa, a bieda do nierzetelności popycha. Tylko przełożonej żal było zdolnego chłopca, że już dłużej uczyć się nie będzie.

Upłynęły dwa lata, rzecz poszła w zapomnienie, gdy w tych dniach kobieta zjawia się znowu, dług, wynoszący dwa ruble—donosi, i opowiada wzruszającą historiją.

Była wdową. Całe utrzymanie tak jej, jak nie- dorosłego syna, opierało się na pracy starszego, felczera, który, gdy tylko na własną rękę pracować zaczął, matkę z bratem do siebie ze wsi sprowadził, ale grom niespodziewanego nieszczęścia uderzył w to poczciwe gniazdko rodzinne. Syn opiekun umarł, ona musiała pójść w służbę, za szkołę nie było czem zapłacić i chłopcu trzeba też było iść na swój chleb...

Jął się fachu zmarłego brata, bo już nabył w nim wiadomości pewnych; lecz, gdy ucząc się dalej, zaczął już troszkę zarabiać, zbierał grosz za groszem, aby się z długu uiszczyć. I pamięć tego obowiązku trwała w nim dwa lata: dwa lata czuł na sercu ciężar niewypłacalności, bronił się przy gromadzeniu grosza za groszem licznym zapewne potrzebom — chłopiec między czternastym a szesnastym rokiem życia!... Nazywa się: on Felix K.... Redakcja zna jego całe nazwisko.

**Stowarzyszenie przewidujących przyszłość**, założone sześć lat temu w Paryżu, w kółkach uczciwych i rozumnych rzemieślników, ogłosiło w dziennikach z rozpoczynającym się rokiem sprawozdanie z położenia swego. „Société des Prevoyants de l'avenir,“ liczy po sześciu latach istnienia 25,000 członków, i posiada w kassie milion franków kapitału, który się zebrał ze składanych „trzech centimów dziennie“ od zarobionego dochodu! Każdy z uczestników ma tu swój własny rachunek i sumkę swoją, która „zabezpiecza przyszłość“ i darzy w teraźniejszości spokojem, przez nadzieję zapewnionej przyszłości. Stowarzyszenie obchodzili wielką uroczystą rocznicę istnienia ich związku. Radca municypalny cyrkułu Sorbony, Dr. Deschamps, odznaczył się przemową mianą, przy wiwacie, wzniesionym za pomysłność stowarzyszenia, które „bez gwałtu, bez jałmużny, bez pomocy rządu, siłą jedynie rozumnej woli i drobnych oszczędności“ doszło do tak szczęśliwych rezultatów.

**Czy się żenić?** — to tytuł książki bezimiennie wydanej w Paryżu, i zaraz wkrótce uzupełnionej przez drugą: *Jak wychowywać dzieci?* Rzecz, pojęta ze strony moralnej, oparta jest jednak na praktycznego życia zastosowaniach. Małżeństwo powinno się zawierać na zasadzie skłonności serce, bo to jedynie zapewnia szczęście rzeczywiste, ale nie istniejemy na obłokach i trzeba bytowi naszemu podstaw realnych, które nakazują oględność w wyborze — rozsądnym i niepłochym czynionym. Trzeba tu wzajemnej znajomości charakterów, znajomości gustów i wymagań, oraz środków rozporządzalnych. Zasady wychowania dzieci też są na takich podstawach oparte; sięgać trzeba myślą w życie i przyszłość istot młodych, stosując do tego pewne strony wychowania. Autor powstaje bardzo surowo na pensjonaty, które coraz to więcej posługują się wychowaniem. Przypisuje to niedostatkowi staranności i miłości macierzyńskiej. Z pomiędzy tych matek, które się tak pozbywają naczelną roli w wychowaniu dzieci, jedna jest leniwa i egoistka, sobą przeważnie zajęta, swoje wygody, swoje przyjemności na pierwszym planie mieszcząca; drugą pobudza do przeszkadzającej wychowaniu dzieci pracy zarobkowej chęć wzmoczonego dobrobytu; a przeciw jedynie dobrem i zupełnie zdrowym miejscem pobytu dla rosnącego, kształtującego się dziecka, jest dom rodzicielski. Nauka może i nawet przeważnie musi, być pozadomową, ale wychowanie powinno być domowe, bo takie jest jedynie naturalnem. Pensjonaty wywierają najpierw zły wpływ na fizyczność dziecka, powtórę muszą mu wyrządzać szkodę moralną przez nienaturalność stosunków swoich.

— **Odkrycie Ameryki przez Chińczyków** zosta-

ło jakoby stwierdzone przez odnalezienie w Copan, na terytorium kraju Honduras, pomnika rozpadającego się w ruiny, który, wedle zdania biegłych, ma pochodzić z XIII wieku. Znajduje się tam rzeźba przedstawiająca symboliczną postać Tai Ki, używającą najwyższej czci Chińczyków. W San Francisco wyszły uczone badania, gdzie Chińczycy, lub może Japończycy, wyładowali najpierw? Autor oświadcza się za Kalifornią.

— **Książę Monaco** zużytkowuje czas, którego nie pochłaniają mu rządy państwa w sposób pożyteczny, studiując prądy Oceanu Atlantyckiego za pośrednictwem doświadczeń, czynionych z pokładu swego jachtu: „Hirondelle.“ Przez ciąg zeszłego lata zatopił u wybrzeży Cieśniny Kaletańskiej pod stopniem szerokości Paryża, 500 butelek, z których kilka wyłowiono wkrótce potem przy brzegach Portugalskich. Francuzki uczonej, członek Paryżkiej Akademii Umiejętności: Bouquet de la Gray, sądzi, że obliczając przeciąg czasu między zanurzeniem butelek a przybyciem jej do pewnych brzegów, można jedynie obliczyć siłę podwodnych prądów morskich.

— **Paweł Bert** miał zostawić w manuskrypcie obszernie dzieło o obyczajach i zwyczajach dalekiego Wschodu. Wdowa chce się zająć niezwłocznie wydaniem tej pośmiertnej pracy męża.

— **Ristori** przygotowuje do druku dwu-tomową książkę: „Studia i wspomnienia.“ Włoskie, francuskie i angielskie wydania książki mają wyjść jednocześnie.

— **Mężę i niewiasty naszego stulecia** — dykcjonarz współczesnych nam żywotów, wyjdzie wkrótce w Londynie nakładem księgarni Cassel. Między współpracownikami znajdują się dwie kobiety: matka i córka Blaize de Boury.

— **Amerykańskie tryumfy** Sary Bernhardt są budowaniem pałacu ze złota. Za siedm przedstawień w Valparaiso otrzymała 31,920 funtów szterlingów, co przy przeciętnym kursie pieniędzy znaczy 319,200 rs. Sztuki przedstawione były: „Dama kameliowa“ trzy razy, „Fedora“ dwa razy, „Frou-Frou“ i „Właściciel kuźnic“ — po razie. W dodatku szalone tryumfy, powóz zamieniony w tron z kwiatów.

— **Konkursowa nagroda** Grillparzera za najlepszy dramat sceniczny, przypadająca co lat trzy, a stanowiąca 1:500 fl., została obecnie przyznana poecie wiedeńskiemu, Ludwikowi Anzengruber, za dramat „Heimgefunden.“ Nagroda za poprzednie trzylecie nie dostała się nikomu, bo żadna ze sztuk konkursowych nie przebyła zwyciężko próby przedstawienia scenicznego, co Grillparzer zastrzegł, jako warunek konieczny, mający się łączyć w równym stopniu z literacką wartością dzieła. Dotychczas, prócz obecnie uwieńczonej, otrzymały nagrody tylko dwie sztuki: „Karolinger“ Wildenbrucha i „Grachus“ Wilbrandta.

— **Jedyny obraz poety**, tak smętnego ducha jak Szopen, Mikołaja Lenau, malowany w 1834 r. przez malarza von Rahl, odnaleziony został w posiadaniu Teobalda Kerner, syna Justyna Kerner, poety, także szlachetnego natchnienia. Obraz ten przedstawia Lenau w pełnym rozkwicie lat młodych, jest bardzo podobny i malowany w stylu wyższym. Burmistrz Wiednia, Uhl, zwrócił się do jego posiadacza z prośbą o zdjęcie zeń kopii dla zbiorów Miejskiego Muzeum, na co pozwolenie otrzymał.

Lenau był naszym gorącym i wiernym przyjaciелеm; stosunki blizkiej zażyłości łączyły go z Polakami, i wielokrotnie natchnienie muzy swojej nam i rzeczom naszym poświęcał; tłómaczył z polskiego a w dziełach jego jest rozdział z ty-

tulem: „Polen-Lieder.“ Był nam też i krwią bliższą, bo pochodził ze Słowaków, zniemczonych, niestety! Właściwe nazwisko jego rodu jest „Nemecz“ albo „Nemec“ i dopiero dziad poety wyrobił sobie u rządu dodanie nowego nazwiska niemieckiego, wziętego z linii żeńskiej. Stare jednak musiało figurować w aktach urzędowych i poeta zamłodu go używał — jak ślad tego został w korespondencyi z Kernerem. Wyraz poetycznego natchnienia Lenau: jego rzewność i nastrój jego poezyi — nuta jego natchnienia, zdradzają w nim Słowaka. Używał nawet często w lirykach swoich miary naszej pieśni ludowej, a zapewne i słowackiej, co uderzało i pociągało doń naszego czytelnika, zanim ostatnie wydanie (z 1885 r.) jego poezyi przez umieszczony na wstępie życiorys wiadomości o tem między szerszą publiczność rozpoznało, że to pokrewny nasz jest.

— **Pomnik Wiktora Emanuela** w Panteonie rzymskim, odsłonięty w Styczeniu, jest pełen spokojnej powagi i szlachetnej prostoty: Jestto z porfiru wyrzeźbiony, greckiego stylu ołtarz, na nim w górze królewskie berło, i korona, z dwoma palmowemi gałęziami. Po bokach herby sabaudzkiego domu i orzeł rzymski. W środku ołtarza na ogromnej tablicy, odlanej z brązu, napis: „Wiktrowi Emanuelowi, ojcu ojczyzny...“

**Kmitet kassy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia d-ra Mianowskiego** podaje do wiadomości, iż dla zasilenia funduszków kassy następujące osoby mieć będą odczyty publiczne w Sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w godzinach od 7—8 w wieczór: Serya I-sza Elektrotechnika.

I. Eugeniusz Dziewulski: „O źródłach elektryczności“ d. 12 Lutego — (już się odbył. P. R.)

II. Józef Boguski: „Elektrochemia“ dnia 16 Lutego.

III. Napoleon Milicer: „Galwanoplastyka“ d. 19 Lutego.

IV. Eugeniusz Dziewulski: „Ciepło i światło elektryczne“ d. 23 Lutego.

V. Stanisław Kramsztyk: „Elektromagnetyzm i telegrafia“ d. 26 Lutego.

VI. Jan Jędrzejewicz: „Elektryczność atmosferyczna“ d. 2 Marca.

VII. Eugeniusz Dziewulski: Indukcja i elektromotory“ d. 5 Marca.

VIII. Henryk Dobrzycki: „Elektryczność zwierzęca“ d. 9 Marca.

Bilety na powyższe odczyty w cenie po rs. 1, po kop. 75, 50 i 30, oraz abonamentowe po rs. 6, rs. 4 k. 50 i rs. 3 są do nabycia: w biurze kassy imienia Mianowskiego (ul. Mazowiecka dom W-o Kronenberga N 22 od godziny 10 rano do 4 po południu) — w Redakcyi „Wszechświata“ (ulica Krakowskie Przedmieście N 66 dom Muzeum Przemysłu i Rolnictwa od godziny. 5 do 7 w wieczór) — w księgarni P. Wendego (ulica Krakowskie Przedmieście N 412 a), oraz przy wejściu na salę, przed rozpoczęciem każdego odczytu.

Odczyty Seryi II z dziedziny Przyrodznawstwa odbędą się zaraz po ukończeniu odczytów Seryi I, o czem podane będzie do wiadomości w czasie właściwym.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 14-ty i 15-ty powieści pod tyt.: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika.

**TREŚĆ:** Pogawędka. — Sonety Dantego, poezya, przez Felicjana. — Anna Jagiellonka królowa polska, opowiadanie historyczne, (dalszy ciąg), przez Maryana Dubieckiego. — Zabiegi pana Piotra, powieść (dalszy ciąg), przez Sewera. — Korespondencya zagraniczna, Poznań. — Dziedziczność psychologiczna, (dokończenie), przez Dra J. Starkmana. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 14-ty i 15-ty powieści pod tytułem: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika. — 17 wzory ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

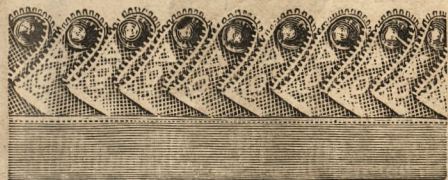
Дозволено Цензурою. — Варшава, 4 Февраля 1887 года.



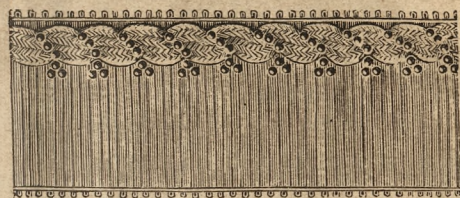
Karczek do koszuli fabrycznym szlaczkiem i szydełkową robotą.

Rycina Nr 3 w Bl. Nr 4.

Rycina 3 przedstawia część karczka wykonanego szydełkiem w połączeniu z maszynowym szlaczkiem, krętą bawełną Nr 60. Górny brzeg karczka i rękawki zdobi koroneczka szydełkowa, przez którą przewleczona jest wązka kolorowa wstążeczka. Dla wykonania tego karczka, należy najpierw połączyć w kółko 3 rzędy szlaczku maszynowego, poczem z jednego brzegu pierwszego szlaczku, należy rozpocząć kolej 1: \* Na jeden listek 7 pow. ocz., zaczepić o pierwszy pikot medalionika, przytrzymując szlaczek pierwszym palcem lewej ręki, zawsze na wierzchu roboty, z powrotem



Nr 1 Szlaczek do szyi i rękawów z koronki i perełek woskowych

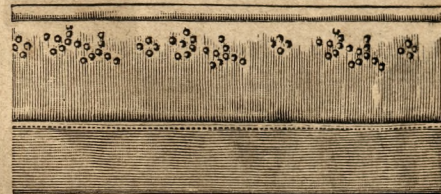


Nr 2. Szlaczek do szyi rękawów z wstążki, złotej plecionki i stalowych paciurek.



Nr 5. Okrywa wizytowa z pluszu. Δrój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 20 — 25

ścisłe poczem 1 listek jak w pierwszej kolei, od \* powtórzyć, w końcu 1 ści. łań. ocz. w pierwsze ścis. ocz. tej kolei. Kolej 3 i 4: Z przeciwnego brzegu drugiego szlaczka, tak samo jak 1 i 2 kolej, przyczem należy wrabiać 3 szlaczek, poczem następuje 8 kolei stanowiących koroneczkę. Kolej 5: \* 4 słup., po każdym 1 pow. ocz., w środkowe 4 pikoty medalionu, 4 pow. ocz., 1 podw. słu. w następny pikot, przerabiając górne żyłki tego ostatniego, z drugim podw. słup., zaczepionym o pierwszy pikot następnego medalionu, 4 pow. ocz., od \* powtórzyć, w końcu 1 ści. ocz. łań. w pierwszy słupek tej kolei. Kolej 6: 4 pow. ocz., poczem ciągle naprzemian: 1 słup. co drugie ocz., 1 pow. ocz., w końcu 1 ścisłe łań. oczko w 3 z pierwszych 4 ocz. pow. tej kolei. Kolej 7: \* 7 pow. ocz., 1 ścisłe ocz. w pow. ocz. następujące po 3 pierwszych słup.,



Nr 3. Szlaczek do szyi i rękawów z krepowych zakładek i stalowych paciurek.



Nr 4. Szlaczek do szyi i rękawów z koronki i woskowych i złotych paciurek.

na poprzednich 7 pow. oczek, 1 ścis. ocz., 1 pół-słup., 3 słupki, 1 pół-słup., 1 ścis. ocz. 9 ścisłe ocz. przerobić z drugim z rzędu pikotem, 2 pow. oczka przerobić z następnym pikotem, 16 pow. ocz. przerobić z ostatnim pik. tegoż medalioniku, poczem z powrotem na ostatnich 7 pow. ocz., 1 ści. ocz., 1 pół-słup., 3 słup., 1 pół-sł. 1 ścis. ocz. od \* powtórzyć, przyczem należy zawsze w pierwszym listku, ostatnie ścis. o. przerobić z ostatnim ścis. ocz. poprzedniego listka, te zaś oczko z którym należało by go przerobić, opuszczać, w końcu 1 ści. o. łań. w pierwsze ocz. tej kolei. Kolej 2: Na poprzednich oczkach z powrotem, przyczem należy wrabiać drugi szlaczek maszynowy, 1 ścis. łań. ocz. w prostopadle żyłki ostatniego ocz. pierwszej kolei, \* na 1 listek 1 ści. ocz., 1 pół-słup., 3 słup., 1 pół-sł., 1 o. ścis. w pierwsze 6 ocz. najbliższych 9 pow. o. 3 pow. ocz., poczem położywszy na wierzchu roboty drugi szlaczek fabryczny, przerobić trzeci pikot pierwszego medalionu, 2 pow. ocz. przerobić następnym pikotem, 3 pow. ocz. na jeden listek, 1 ści. ocz., 1 pół-słupek, 3 słup., 1 pół-słupek, 1 ści. ocz. w ostatnie 6 pow. ocz., z 9 pow. o. i w następnym jedno o.



Nr 6. Suknia wełniana. Opis pierw. str. tabl.

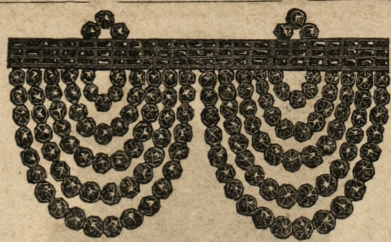
Nr 7. Suknia domowa z kaszmiru Opis pierw. str. tabl.

4 pow. ocz., 1 podw. słup. w to samo ocz. z którym przerobiono ścis. ocz., 1 podw. słupek w pow. ocz., następujące po 3 słup. kolejnych, górne żyłki obu ostatnich podw. słup. przerabiają się razem, 4 ocz. pow., 1 w to samo oczko, ścisłe oczko z którym przerobiono poprzedni podw. słupek, od \* powtórzyć, w końcu 4 ści. łań. ocz. w pierwsze 4 ocz. z 7 pow. ocz. Kolej 8: 3 ocz. pow., \* 1 podw. słup. w połączone dwa słup. podwójne poprzedniej kolei, 3 pow. ocz., 1 ści. ocz., 3 pow. ocz., 1 podw. słupek w te same ocz., 7 pow. ocz., z których środkowe ocz. przerobić z 4 z 7 następnymi pow. ocz., następnymi pow. ocz., od \* powtórzyć, na koniec zamiast 7 ocz. pow., należy wykonać tylko 3 pow. ocz. i 3 ścisłe łań. ocz. w pierwsze 3 pow. ocz. tej kolei. Kolej 9 ciągle naprzemian: 1 ścisłe oczko w najbliższy podwójny słupek, 4 pow. oczka. w końcu 1 ścisłe łań. ocz. w pierwsze ocz. tej kolei. Kolej 10 jak 6 kolej. Kolej 11: \* 1 ścisłe ocz. w najbliższe pow. oczko poprzedniej kolei, 5 pow. ocz., 3 listki po każdym 5 pow. oczku. Na każdy listek należy wykonać po 3 podw. słupki, przerabiając razem górne żyłki takowych, 5 ocz. pow., 6

ocz. opuścić, od \* powtórzyć, w końcu 4 ściśle łańc. oczka w pierwsze 4 ocz. tej kolei. Kolej 12: 3 razy naprzemian: 6 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w 5 ocz. pow. poprzedniej kolei, 1 pow. o. 1 ści. o. w następne 5 pow. ocz. Złożywszy robotę we dwoje, należy na każdy rękawek zamocować szlaczek, złożony z 14 medalioników, do 4 z rzędu medalionika, licząc od zgięcia na ramieniu, poczem z uwzględnieniem formy rękawka, należy przymocować jeszcze dwa szlaczki i spoić wszystkie listeczkami, tak samo jak poprzednio, poczem należy wykonać koroneczkę z 8 kolei złożoną, wreszcie dolny brzeg



Nr 9. Sukienka dla dzieci od 2 do 4 lat. Przęd. Krój i opis pier. str. tabl. Nr I, fig. 1 — 8.



Nr 8. Szlaczek z perełek. Połowa naturalnej wielkości.



Nr 10. Sukienka dla dzieci od 2 do 3 lat. Plecy. (Do ryc. 9).

brania, 2 słupek po każdym 1 pow. ocz., a przy zakończeniu tej kolei dwa słupek. po każdym 1 pow. oczko, w pow. ocz. po ostatnim słupek. Kolej 3 do 35 jak poprzednia kolej, przy czym w każdej kolei powiększa się liczba słupek. Następnie pojedynczą nitką należy wykonać falbankę, na każdej kolei nie parzystą liczbą oznaczonej, aż do 21 kolei; każda falbanka składa się z 3 kolei, wykonanych w jednym kierunku. Kolej 1: 1 ściśle ocz. (przerabiając tylko wierzchnią żyłkę oczek) \* 3 pow. ocz., 1 ści. ocz. w drugie z rzę-



Nr 12. Paltocik dla chłopczyka od 7 do 9 lat. Krój i opis pier. str. tab. Nr III, fig. 14 — 19.

karczka zakończyć dwoma kolejami, jak 5 i 6 kolej, opuszczając wszakże kilka oczek w każdym wkleśnięciu, żeby nadać karczce formę właściwą.

### Kapturek szydełkową robotą.

Rycina Nr 10 w Blu. Nr 4.

Kapturek z białej błyszczącej włóczki, częścią podwójną, częścią pojedynczą nitką wykonany, drewnianem szydełkiem. Na tle wykonaniem w desę słupek, wrabiane są rzędami falbanki coraz szersze do dołu. Rozpocząć robotę podwójną nitką od środka przodu, na kółeczku z 18 oczek i 1 ściś. ocz. przerobionego z pierwszym ocz., poczem na 13 najbliższych ocz. z powrotem. Kolej 1: 5 pow. ocz., 3 razy naprzemian: 1 słupek. w następne ocz., 1 pow. ocz., 1 ocz. opuścić, poczem na jedno przybranie 2 słupek. po każdym 1 pow. ocz. w następne oczko, przy czym należy przerobić jedną żyłkę 3 oczka, z 18 ocz. założenia, 3 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 słupek. w drugie z rzędu oczko, 1 pow. ocz. i 1 słupek w następne ocz. Kolej 2: Robotę odwrócić (co należy przy każdym rozpoczęciu nowej kolei uskutecznić) 5 pow. ocz., poczem ciągle naprzemian: 1 słupek w następne pow. ocz. poprzedniej kolei (przerabiając wszakże ciągle tylko wierzchnią żyłkę oczek) 1 pow. ocz. w pow. ocz. stanowiące środek przy-



Nr 11. Kaftanik ranny z flanelki. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 27 — 63.



Nr 13. Płaszcz od deszczu dla panienki od 8 do 10 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 45 — 52.

du ocz., 6 pow. ocz., 1 ści. ocz. w 3 z rzędu ocz., od \* powtórzyć. Kolej 2: \* 1 ściś. ocz. w ściś. ocz. poprzedniej kolei, 3 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w następne ściśle oczko, 7 pow. ocz., od \* powtórzyć. Kolej 3 jak 2 kolej, tylko zamiast 7 ocz. pow., wykonywać po 8 pow. ocz. Na 23, 27 i 31 kolei tła, wykonać nieco szersze falbanki i tak: pierwsza z nich ma 7 kolei, następne dwie po 9 kolei, przy czym liczba większych powietrznych łuków w 4, 6, a następnie 8 kolei, o jedno oczko się powiększa. Brzeg tła należy zakończyć sposobem następującym: Ciągłe po 1 ści. oczku co drugie ocz., 3 pow. ocz., zaś na każdym rogu 3 ocz. ściś. po każdym 3 pow. ocz., poczem należy wykonać brzezną falbankę zupełnie tak samo, jak ostatnie 3 szersze. Na środkowych 5 oczkach kapturka nad czołem, na podstawie roboty, wykonać 8 pukielków, każdy z 18 pow. ocz. i 1 ściś. oczka złożonych.

### Girlanda i bukiet z kwiatów.

Rycina Nr 16 i 17 w Blu Nr 4.

Girlanda z różowego bzu, ciemnych liści i traw, 75 cent. długa, może służyć jako berta przy staniku, lub jako dolne zakończenie takowego. Odpowiednie dwa bukietiki na ramię i do głowy, stanowią garnirowanie.



Nr 14. Paltocik z aksamitu (velouru). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 37 — 44.

## Desen na poduszkę gobelinowym ścięciem.

Rycina Nr 22 i 8 w Blu. Nr 4

Rycina Nr 8 przedstawia czwartą część deseni, z wykazem pod ryciną kolorów włóczki do roboty użytych; na każdy ściąg deseni należy wykonać 2 ścięgi przez 2 nitki wzdłuż i w szerz kanwy, jak to rycina 22 przedstawia, przyczem należy ścięgi, ażeby były wypukłe, podkładać cienkim szpagatem podług wzoru.

## Postumencik do listów i kart wizytowych.

Rycina Nr 23 w Blu. Nr 4.

Postument mosiężny 10 centim. wysoki, z małą teczką z tektury, obciągniętą oliwkowym pluszem i przyozdobioną haftem, wykonanym niebieską, różową i jasnobronzową filozelą.

## Papierośnica haftowana.

Rycina Nr 24 w Blu. Nr 4.

Papierośnica z czerwonej skórki, złożona z dwóch części, z których pierwsza wierzchnia jest 8 cent. długa, a 6 cent. szeroka, przyozdobiona na środku podłożonym owalnym medalionem z niebieskiego aksamitu, na którym wykonany jest hacik ręczny. Część wsuwana wewnątrz, powinna być nieco węższe.

## Stojąca teka na gazety z nakładnym haftem.

Rycina Nr 25 w Bl. Nr 4.

W zewnętrznej ramie tej teki z bambusowej trzciny, oprawiona jest robota, wykonana na brokateli nakładnym haftem z pluszu i atlasu. Kontury arabskich obwiedzionych są złotym i metalowym sznureczkiem, środek zaś figur wypełniony jest różnokolorową filozelą. Niklowe okucia i spojenia zdobią teczkę podług ryciny.

## Dwie koroneczki wiązane.

Rycina Nr 26 i 27 w Blu. Nr 4.

Koroneczki te wykonane są grubą nitką na waziutkim szlaczku maszynowym (minardis). Dla wykonania koroneczki ryciny Nr 26, należy wziąć do ręki szlaczek, przez każdą pętelkę od prawej ku lewej stronie, przeprowadzić nawleczoną igłę i zamocować supełek, podkładając jednocześnie podwójną nitkę tej samej grubości,

wzdłuż całej roboty, co stanowi pierwszą koleję. Kolej 2: \* 1 supełek w żyłkę pomiędzy dwoma pętelkami, przyczem należy wydłużyć takowy na mniej więcej pół centimetra, 1 supełek w to samo oczko, od \* powtórzyć. Kolej 3 ciągle po jednym supełku w każdą dolną żyłkę. Kolej 4: \* Ciągłe po 1 supełku co drugą żyłkę, poczem robotę odwrócić, 6 supełków, tworząc przytem wydłużone oczka, robotę odwrócić, 6 słup. w każde oczko, od \* powtórzyć.

Dla wykonania koroneczki ryciny 27, należy kolej pierwszą wykonać zupełnie tak samo, jak w poprzedniej koroneczce. Kolej 2: Ciągłe: 1 supełek w każdą żyłkę następną. Kolej 3: \* 1 supełek w wydłużonym na pół cent. oczkiem, 1 supełek w dolną żyłkę tego oczka, 1 supełek w wydłużonym oczkiem, w następną żyłkę, oba oczka w środku przewiązać jednym supełkiem, 1 supełek w dolną połowę drugiego oczka, od \* powtórzyć. Kolej 4: Ciągłe po 1 supełku w każdą żyłkę. Kolej 5: \* 1 supełek w następną żyłkę, 1 supełek w drugą z rzędu żyłkę, nitkę przeprowadzić do pierwszego supełka i przerabiając obie nitki w pierwszą połowę tego łuku 3 supełki, po każdym małą pętelką, przeprowadzić nitkę do 3 pętelki pierwszego łuku, 1 supełek, 6 supełków po każdym, 1 pętelka i 3 także oczka, w drugą połowę poprzedniego łuku, 1 supełek w następną żyłkę, poczem od \* powtórzyć.

## Poduszka na sofę.

Rycina Nr 28 do 30 w Blu. Nr 4.

Kwadratowa poduszka haftowana sznelką wel-

nianą rozmaitego koloru, zwyczajnym ścięciem ukośnym i sudańską włóczką, dużymi krzyżykami przeszywanymi złotą nitką. Rycina 28 przedstawia desen z wykazem pod ryciną użytych kolorów szneli i włóczki, a rycina 29 sposób wykonania roboty. Po wykonaniu haftu należy poduszkę wysłać włosom, wykończyć i obszyć grubym wełnianym sznurem, składając takowy na rogach w pętelki, wreszcie górne dwa rogi należy przybrać rozetami i sutemi kwastami z różnokolorowej szneli.

## Dwa szlaczki do przybrania koszyczków lub t. p.

Rycina Nr 31 i 32 w B Nr 4.

Szlaczki te wykonane są na podzielnej grubej kanwie, niebieską, pasową i brązową sznelką w kilku cieniach, oraz złotym kordonkiem.

## Schowanko na szcztokę do czyszczenia ubrania.

Rycina Nr 29 w Blu. Nr 6.

Ten rodzaj tecki wiszącej, z zagięciem na szcztokę, robi się z tektury. Wklęsnięty nieco środek, obciągnięty jest skórą, na której wykonany jest haft różnokolorowymi filozelami i złotym kordonkiem; oprawa z pluszu ceglatego koloru.

Na zewnętrznej stronie wygięcia znajduje się monogram wyhaftowany atlaszkiem. Szcztoka również oprawiona jest w ceglasty plusz.

## Woreczek do roboty.

Rycina Nr 30 w Blu. Nr 6.

Ściągany woreczek z brązowego atlasu, 23 centim. wysoki, a 16 i pół cent. szeroki, zaopatrzony jest denkiem kwadratowym, 19 centim. z każdej strony mającym, haftowane filozelami na kretonie w duże wzory, rogi kwadratu obszytego sznurem, zamocowane są na woreczku, sposobem na rycinie widocznym.

## Koronka szydełkową robotą.

Rycina Nr 31 w Bl. Nr 6.

Koronka z jedwabiu krętego piaskowego koloru. Kolej 1: \* kółeczko z 6 ocz. pow., 32 pow. o. od 31 ocz. do 12 ocz. zebrać 20 o. każde wydłużyć tak, żeby dolne oczka były dłuższe, dalsze coraz krótsze, wszystkie na szydełku będące oczka przewlec jednym



oczkiem, ostatnie ściągnąć 1 pow. ocz., poczem w następne oczka założenia 1 o. ścis., 8 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 słup. w następne ocz. założenia, 1 pow. ocz. i 2 słupki w następne ocz., po każdym 8 pow. ocz., 8 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 słup. w następne ocz. poczem 1 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w następne ocz., 1 ścis. ocz. łańc. w 11 z 34 oczek, 11 pow. ocz., od \* powtórzyć. Kolej 2: \* 1 ścis. o. w środkowe oczko kółka poprzedniej kolei, 3 pow. ocz. 1 ścis. ocz. w pow. ocz. pomiędzy drugim a trzecim słupkiem, 3 razy naprzemian: po 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz., 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w poprzednie 3 pow. ocz., 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w następujące pojedyncze pow. ocz., 3 razy naprzemian: 5 pow. ocz., 1 ścisłe ocz. w 4 z rzędu ocz., 3 pow. ocz., od \* powtórzyć. Kolej 3: \* 1 ścis. ocz. w najbliższe 5 ocz. pow. poprzedniej kolei, 7 razy naprzemian: 5 pow. o., 1 ścis. ocz. w następne 5 o. pow., 3 pow. ocz., od \* powtórzyć. Kolej 4 po drugiej stronie roboty: 1 ścis. ocz. w środkowe ocz. z 11 pow. oczek, 7 pow. ocz. Kolej 5 ciągle naprzemian: 1 słupek w drugie z rzędu o., 1 pow. ocz., 1 ocz. opuścić.

Opis ryciny 1, 2 i 26 pozostałe z N-ru 6, podamy w N-rze 8.

### Galon z paciorek.

Rycina Nr 8

Podług naszego wzoru można ręcznym sposobem wykonać ten galonik na pasmanteryjne tasiemce, nawlekając paciorki rzędami i mocując takowe podług ryciny.

### Suknia z aksamitu i koronki.

Rycina Nr 15.

Przód i boki tej sukni, z czarnej materyi, przykryte są koronką w duże wzory, tren z aksamitu. Stanik aksamitny naszywany koronką w kształcie szelek. Rękaw składa się z dwóch części: górnej bufiastej z aksamitu i dolnej z koronki z aksamitnym wyłogiem, danym podług ryciny. Krój spódnicy i trenu znajduje się na tablicy dołączonej do N-ru 1 i 2, fig. 1—4.

### Suknia z „satin-merveilleux“.

Rycina Nr 16.

Spódniczka przybrana jest z lewej strony falbaną, z brązowego satin-merveilleux, sięgającą aż do pasa, z prawej zaś tylko 50 centymetrów wysoką. Wyłóg z ciemnego aksamitu zdobi pierwszą dużą fałdę falbany. Bufiaste upięcie zdobi duża kokarda z tegoż aksamitu, podbitego materyą. Staniczek z satin-merveilleux, przybrany aksamitem podług ryciny.



Objasnienie znaczków: ■ ciemno-zielony, □ jasno-zielony, □ pierw. (najciem.), □ drugi, □ trzeci, □ czwarty (najjaśn.) pasowy, □ seledynowy, □ pierw. (najciem.), □ drugi, □ trzeci, □ czwarty (najjaśn.) żółty, □ popielaty.  
Nr 17. Szlak na meble i t. p. krzyżową robotą.

## Przepisy gospodarskie.

### Paszteciki ze szpiku.

(Wyborne).

Szpic jest nie tylko lubianą, ale i zdrową potrawą. Otóż podaje tu zupełnie nowy rodzaj pasztecików, głównie do rosolu — lub „ptô-au-feu“ podawanych.

Wczorajszy chlebek angielski, lub długą białą bułkę okroić ze skórki i pokrajać na kawałki najmniej cal grubości; w środku naciąć tylko nożem kwadrat duży, tak, aby można tam włożyć swobodnie kawałek szpiku. Na patelnię wziąć kawałek masła, w gotujące wrzucić bułki, smarząc je bardzo szybko, co się zowie „tam i na powrót“, czyli że odsmarzone na błądo z jednej strony, przewrócić szybko na drugą stronę. Gdy są tak z obu stron obsmarzone i wystudzone, wyciąć ostrożnie nożem owe nadkrojone kwadraciki bułki, wyjmując je jak można najgłębiej. Osobno „zblanżerować“, co znaczy odgotować szybko, to jest: krótko gotując w zimnej wodzie z solą, i długie, grube kawały szpiku, które można dostać u rzeźników, bez kości, co jest taniej i lepiej; w razie jednak trudności gotować z kością i zaraz póki gorące wyrzucić z kości. Gdy ten szpic ostygnie zupełnie, pokrajać go na kawałki długości cala i w każdy otwór grzanki włożyć jeden kawałek równo z bułką tak, aby szpic nie wystawał. Gdy się ma już waza dawać na stół wstawić na chwilę ułożone na blasze grzanki ze szpikiem dla rozgrzania i podać przy zupie. Oddzielnie usmarzyć na friturze gałązki zielonej pietruszki, rzucając je na gorącą bardzo — a w jednej chwili chrupać zaczniesz. Posypać nią na półmisku grzanki — jest to nowość zupełna i wyborna.

L. C.

### Obiad na Niedzielę.

1. Czarnina z kluseczkami i śliwkami.
2. Potrawa z kaczek z grzybami i perłową kaszą.
3. Zając z sałatą z czerwonej kapusty.
4. Tort angielski.

### Sprostowanie:

W Dodatku do N-ru 6 Bluszczu, zaszyły następujące omyłki drukarskie, które niniejszym prostujemy. Na stronicy 26 powinno być (przepisy gospodarskie), zupa *Oa-tail* — w wierszu 22 tegoż artykułu zamiast *lub*, czytaj: *jak liści bobkowych* — w wierszu 28 zamiast *soi laboul*, czytaj: *soi angielskiej* „*Caboul*“ — w wierszu 30 zamiast *oddzielić*, powinno być: *oddzielnie*.

Do dzisiejszego numeru dołączona Tablica krojów, służy też do N-ru 6.